

Nr 1 (36)

2009



ISSN 1732-1069



PEGAZ LUBUSKI

**WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA W GORZOWIE WLKP.
ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH - ODDZIAŁ W GORZOWIE WLKP.**

Marek Grewling

I KULTURA AUTORYTET czyli wieczna akomodacja

Często słyszę, że uwarunkowania współczesności niosą spłylenie szeroko rozumianej twórczości kulturalnej oraz zaniżenie poziomu odbiorców tejże.

Swoista i – przyznaję – niezbyt zrozumiała dla mnie poprawność każe wielu znawcom i analitykom mówić o jakoby powszechnym upadku kultury naszych czasów. W związku z tak stawianą tezę rodzi się pytanie o kondycję szeroko rozumianej kultury. Pytanie o to, czy wysoka kultura dotarła do kresu? W końcu pytanie o jej rolę i miejsce w ponowoczesnym świecie wśród pomieszkujących go ludzi. Czasy rzeczywiście są na wskroś nowe. Technologie wdarły się w codzienność, a lada dzień wkroczą stricte w nasze ciała i umysły. Oto nowe czasy, już nie antycypacja, lecz krok po kroku partycypacja w Nowym Wspaniałym Świecie. Właśnie dlatego współczesna społeczność tak w wymiarze globalnym, jak i jednostkowym ma inne od swych antenatów oczekiwania w stosunku do kultury i sztuki. Nie przez przypadek mówi się o dzisiejszej kulturze w kategoriach hipermarketu. Wszak nie da się ukryć, że w wielkiej mierze tak jest. Podaż, popyt, show business, systemy promocji, sztuka gwiazdorstwa. Znamy to. Uczestniczymy w tym jarmarku. Korzystamy nolens volens z obfitości podaży współczesnego targowiska, które dostarcza nam mniej lub bardziej głębszych doznań duchowych. Naturalnie, co bardziej wnikliwi i wrażliwi obserwatorzy rzeczywistości stawiają pytanie: Czy to już kres możliwości kreatywnych i percepcyjnych? Czy tłumy skandujące prostackie rymy przebojów i przebrane w groteskowo-kiczowate stroje wymyślone i produkowane przez maszyny, zaprogramowane przez alchemików cybernetyki – czy te tłumy, które są ziszczeniem trockistowskich marzeń o armii

cd. na str. 2

Ireneusz Krzysztof Szmidt

Po bitwie

**Za kopiec zeszłorocznej słomy
armaty swoje odciągnęła burza**

**Podniebne topole
wsparte śmigłym wiatrem
wymiotły za horyzont mokre
czarne chmury**

**Posiwały skały wapienne
w zastygającym zwierciadle jeziora**

**Jeszcze raz przeszyla pole
pikująca jaskółka**

**Ostatnie krople deszczu
ekspłodowały w przestrzeń
między ziemią a niebem
tam już zostały
uwięzione w tęczy**

**Teraz z kałuży
między bruzdą a bruzdą
arią świetlistą wystrzelił skowronek
- będzie słońcu układał
pieśni o pokoju**

**Na przyzbie starej chaty
teraz siądzie człowiek
będzie mógł choć przez chwilę
pomyśleć o sobie**

**Wojciech
Jachimowicz**

NA KONGRES RAZEM...

We wrześniu 2011 roku we Wrocławiu odbędzie się Europejski Kongres Kultury, w którym zaplanowano uczestnictwo 6000 osób.

Już w lutym br. na Uniwersytecie Wrocławskim zainicjowano przygotowania. Przy Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego powstał zespół, który rozpoczyna przygotowania do organizacji Kongresu. Obradom Kongresu towarzyszyć mają wydarzenia artystyczne. Prawdopodobnie w tym czasie we Wrocławiu odbędzie się też festiwal sztuki, którego charakter zostanie ustalony w najbliższych miesiącach.

Kongres będzie nie tylko rozmową intelektualistów, ludzi mediów i kultury, ale też artystycznym festiwalem.

Uczestnicy Kongresu debatować będą m.in. o tym, czy kultura europejska jest chrześcijańska, o życiu umysłowym Europejczyków, ich kulturach narodowych, o różnicach między kulturą pop a elitarną. Ważnym tematem będzie Internet jako medium pozwalające uczestniczyć w kulturze. Europejski Kongres Kultury, którego myślą przewodnią będzie problem wykluczenia z kultury, ma być jednym z najbardziej znaczących wydarzeń podczas polskiej prezydencji w Unii Europejskiej przypadającej na rok 2011.

Nowosolskie Towarzystwo Humanistyczne zaproponowało już Marszałkowi Województwa Lubuskiego zorganizowanie konferencji, w której wzięliby udział lubuscy twórcy, stowarzyszenia, naukowcy i instytucje. Dorobek takiego przedsięwzięcia można pokazać w niezbyt odległym Wrocławiu na Europejskim Kongresie. Jest taka możliwość i jest taka szansa prezentowania dorobku naszego środowiska. Szczególnie można ukazać dorobek regionu w zakresie intelektualnym, wydawniczym, badawczym, ochrony dóbr kultury, dbałości o obiek-

cd. na str. 3

cd. ze str. 1

pracy i permanentnej rewolucji, czy te tłumy o empatii zredukowanej do poziomu marksowskiego: „byt określa świadomość” potrzebują jeszcze jakiejś głębi? Zresztą stawianie pytania o potrzeby współczesnych jest wręcz prowokacyjną przesadą. Należy raczej postawić pytanie, czy wspomniane tłumy konsumentów popularnej kultury są w stanie zatrzymać się wśród huku muzyki techno i wykrzykiwanych w jej rytm zdań tekstów przebojów. Horyzont myśli człowieka wyznacza wittgesteinowski cyrkiel zdań. Twierdzenie ociera się o banał. Lecz jakie zdania są w stanie zrozumieć autorzy niewprawnych prymitywnych komunikatów rodem z telefonii cyfrowej? Gdzie więc są horyzonty ich myśli? Czy Cervantes, Bułhakow et consortes pozostaną ikonami, przed którymi przyklekać będą jedynie wybrane dzieci Nowego Wspaniałego Świata, aby odmawiać wieczorny paciorek ponowoczesnych alf i bet? Nie sądzę bowiem, że gammy i delty będą miały natchnienie i ochotę na takie resentymenty.

Moja ironia jest świadoma i zamierzona. Jeśli bowiem ktokolwiek sugeruje, że nigdy nie było świata bez podziałów na lepszych i gorszych, wykształconych i niewykształconych lub po prostu bez klas społecznych, to taki ktoś jest szalbierzem. Zawsze bowiem było tak, że byli mądrzejsi i głupszy, piśmienni i analfabeci. Dzisiaj, i tak jest lepiej, większość jednak stanowią piśmienni. Śmiem twierdzić, że od początku cywilizacji po kres wszystkich epok wspólnym mianownikiem konsumentów kultury są marzenia. To marzenia pchały jaskiniowców do malowania idealnych stad i udanych polowań na nie. Marzenia kazały zaludnić Olimp bogami, w końcu marzenia kazały wykrzykiwać wspomnianym tłumom współczesnych jaskiniowców swoją tęsknotę do miłości i spotkania drugiego człowieka. Prymitywne to? Cóż, stada bawołów na ścianie jaskini Lascaux też nie są Bachem, Monetem ani Shakespearem. A mówiąc bez ironii, kultura ma piętra poziomów twórcy i odbiorcy. Zawsze tak było. Zawsze była tzw. sztuka wysoka i popularna, a proporcje ilościowe pozostają zapewne porównywalne w ciągu całych dziejów.

Czy zatem kultura współczesna naznaczona jest stygmatem dekadencji? Owszem, naznaczona jest *signum temporis*, znakiem tego, co jest znamienne dla naszych czasów, alienacją jednostki i tym wszystkim, co jest znamiennym współczesnych technicznych społeczeństw. Czy to jednak dekadencja? Czy zanikają ludzkie marzenia? O czym się śpiewa, pisze i maluje w popkulturze? Czyż nie o spełnieniu marzeń człowieka? Szczęściem ludzkości są ci, którzy pragną więcej. Ich marzenia przełożone na język sztuki wysokiej stają się matrycą dla reszty, której wystarczą sitcomy żywiące wzorcami wziętymi z wielkiej literatury, czy dla miłośników komiksów, które czerpią wzorce z wielkiego malarstwa dziejów... itd., itd. Zatem, niech żyją nasze marzenia małe i wielkie, bo dramat człowieczeństwa i kres kultury zacznie się w dniu śmierci naszych marzeń. Dlatego trzeba je ocalić po to, aby móc z radością krzyknąć jak ci wszyscy, którzy mieli szczęście zmieścić swe marzenia: Niech żyje sztuka!

Nieco inaczej ma się sprawa z upadkiem autorytetów. Ich erozja jest powszechnie odczuwalna. Gdy Fryderyk Nietzsche ogłosił światu „śmierć Boga”, zapowiedział *implicite* śmierć autorytetów. Wprawdzie przełom XIX i XX wieku zapowiadał zaledwie przedsmak wielkich przemian mentalnych i obyczajowych, to następujące dziesięciolecie w zawrotnym tempie przemieniły oblicze moralne ludzkości. Przez tysiąclecia świadomość ludzi warunkowana była nacechowanym lękami sposobem pojmowania świata i człowieka. Łąki te wynikały wprost z potrzeby racjonalizacji mikro- i makrokosmosu. Stąd urok etiologii sumeryjskich czy wywodzących się wprost z nich kosmogonii i etiologii hebrajskich. Starożytni, najlepiej jak tylko potrafili, wyjaśniali świat swoim współczesnym i ich następcom. Ich mądrość wystarczyła na całe tysiąclecia. Ich odpowiedzi zaspokajały potrzebę pytającego człowieka i stawały się fundamentem, racją i usprawiedliwieniem status quo. Systemy społeczno-polityczne całych epok poprzedzających erę ponowoczesnego wolnego umysłu sprzyjały istnieniu autorytetów. Autorytetem sprzyjał cały kontekst życia umysłowego. Autorytety były po prostu potrzebne w skali całego spectrum życia człowieka, począwszy od uwarunkowań ekonomicznych, a skończywszy na zakresie porządkującym ład moralny i porządek relacji międzyludzkich. Prze-

kładano się na politykę, na horyzonty naukowe, w końcu tak też na kwestie, jakie odważano się stawiać metafizyce. Trudno jednoznacznie wytyczyć granicę, która stanowiłaby o podważeniu potrzeby autorytetu. Może się nią okazać przewrót kopernikański, wielkie odkrycia geograficzne, rewolucja przemysłowa, Wielka Rewolucja Francuska czy ogłoszenie „śmierci Boga”. Wytyczanie cezury nie jest jednak najważniejsze. Istotne jest to, że w pewnym momencie dziejów człowiek osiągnął taką samowiedzę oraz taką wiedzę o otaczającym go świecie połączoną z awansem technologicznym, które umożliwiły uwolnienie się od autorytetów. Jacyś ponurzy prorocy straszą jakoby przerażającą przyszłością dla człowieka pozbawionego autorytetów. Należy jednak z mocą podkreślić, że żadnej jednostce ludzkiej nie można odebrać prawa posiadania autorytetu, jeśli dana jednostka tego pragnie.

Człowiek sam decyduje się na przyjęcie lub odrzuceniu autorytetu. A odrzucić autorytet może tylko ten, kto jest wewnętrznie gotów żyć bez niego. Jeżeli zaś już jest gotów na taki akt wolności, to musi być wewnętrznie przygotowany na pozytywne wpisanie się w społeczność. W przeciwnym razie istnienie – czytaj życie – stanie się nie do zniesienia. Czymże więc jest odrzucenie autorytetów? Czyż nie jest to zrzucenie mentalnej i duchowej niewoli? Bo czym jest autorytet jak nie przyjętym mniej lub bardziej dobrowolnie jarzmem, które pomaga nieznającemu drogi wołu kroczyć wraz z ciężkim bagażem życia do celu, jakim tak czy inaczej jest śmierć? Gdy jednak droga staje się znana i wyobrażalna, gdy życie można racjonalizować, wyjaśnić i odpowiedzieć przynajmniej na te pytania, które dotyczą kolei ziemskich rzeczy, wówczas rola autorytetu maleje. Redukcja autorytetu nie świadczy o redukcji człowieczeństwa, przeciwnie, redukcja autorytetu prowadzi do wzrostu jakości człowieczeństwa. Oto człowiek nie potrzebuje już szczegółowych wskazówek co, jak, gdzie i kiedy ma czynić. Człowiek sam wie, a miarą jego humanizmu i moralności już nie jest przestrzeganie norm starożytnych nomadów, które niedbale przetłumaczył biegły w metafizycznych sztuczkach moralista. Miarą człowieczeństwa staje się prawo moralne „we mnie”. Ale parafraza Kanta nie prowadzi do relatywizmu. Moralność wolna od autorytetu pozwala na permanentną kontrolę, bowiem jest to moralność pozbawiona dogmatu – jakże niezbędnego dla utrzymania autorytetów. Taka moralność jest ustawicznie budującą się rzeczywistością wewnętrzną. Naturalnie, rezygnacja z pomocy autorytetów jest obciążająca. Człowiek przestaje być nietzscheańskim wielbłądem zwolnionym od trudu refleksji. Nikt mu już nie powie: „idź tędy”, „rób tak”. „Trzy są przemiany ducha” czytamy u Nietzschego. Najwyższy poziom osiąga ten, który jak dziecko gotów jest zacząć budować swe człowieczeństwo od nowa, bez narzuconych kryteriów, w oparciu o własne wypracowane trudem umysłu i bólem doświadczenia ścieżki mentalne. Do tego musi być gotów weryfikować swój model człowieczeństwa i moralności z innymi. To ciężka praca, Ale ta praca wiedzie do autonomii człowieka.

Gdy spojrzymy na kulturę jako wypadkową ludzkich marzeń i na autorytety jak na protezę dla słabości ludzkiego umysłu i braku kreatywności moralnej, to współczesność i przyszłość przestanie być straszakiem, „czarnym ludem” i pozbawionym nadziei „czymś”. Bo oto okazuje się, że człowiek z upływem tysiącleci zmienia nie tylko ekonomiczne oblicze swego otoczenia, ale także świetnie akomoduje się intelektualnie i etycznie do rzeczywistości, która jest przez niego ukształtowana. Straszanie upadkiem człowieczeństwa poprzez zapowiadaną degenerację kultury i deprecjację autorytetów jest niewątpliwie dla wielu nośnym i mile brzmiącym w uchu śpiewem. Lecz z pewnością nie jest to nawet syreni śpiew. Po prostu czas ma to do siebie, że nie zważając na nic i na nikogo płynie do przodu i nie zważając na nikogo i na nic przynosi zmiany dzień po dniu, wiek po wieku, z tysiąclecia na tysiąclecie. Powoli, lecz nieuchronnie.

Marek Grewling

Wojciech Jachimowicz Na kongres razem ...

cd. ze str. 1

ty sakralne i zabytki świeckie. Nie można pominąć wybitnych osiągnięć literackich, upowszechniania kultury wysokiej i edukacji kulturalnej. Zapewne zostanie powołany regionalny komitet organizacyjny, który może udźwignąć taki wysiłek organizacyjny z pozytywnym wynikiem.

Przystępując do takiego przedsięwzięcia pamiętać należy, że podobne wydarzenie miało już miejsce w Zielonej Górze w roku 2000. Wtedy to, dla odmiany, przed Kongresem Kultury Polskiej odbyło się Lubuskie Forum Kultury 2000, a w jego ramach Ogólnopolska Przedkongresowa Konferencja Naukowa „Edukacja kulturalna dzieci i młodzieży”.

Wówczas do organizacji zabrali się Marszałek Województwa Lubuskiego, Urząd Miejski w Zielonej Górze, Komitet Organizacyjny Forum Kultury oraz Instytut Pedagogiki Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Zielonej Górze. Owocami tego miały być dwie publikacje zawierające teksty zaprezentowane w czasie forum. Miały być dwie, ale była tylko jedna. Wydrukowana naprędce i zawieszona na Kongres Kultury Polskiej w Warszawie była rozdawana w materiałach dla uczestników. Znalazły się w niej wystąpienia na konferencji w Zielonej Górze naukowców z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, Filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie, Uniwersytetu im A. Mickiewicza w Poznaniu, Uniwersytetu Wrocławskiego, Uniwersytetu w Białymstoku i Uniwersytetu w Łodzi. Znalazło się też kilka tekstów zielonogórzan związanych z uczelnią.

Publikacja ta jednak zagubiła charakter tożsamy z regionem. Miała go uzupełniać druga, z wystąpieniami lubuskich naukowców, twórców i działaczy kultury, lecz się na kongres warszawski jakoś nie ukazała. Jak nie, uczestnicząc w Kongresie Kultury Polskiej, miałem wrażenie, że Ziemia Lubuska podkuła kulturalny ogon pod siebie i ochocho prezentowała przemyslenia i teksty naukowców z całej niemal Polski, ze skutecznym i wymownym przemilczeniem własnego dorobku. Odbierałem to jako ciekawe zjawisko socjologiczne zbiorowego wstydu przed sygnalizowaniem własnej tożsamości. I tak zakończyła się z wielkim rozmachem rozpoczęta ofensywa lubuskiej kultury w Warszawie. Każdy z autorów tekstów opublikowanych, co prawda, chwalił się, że ma kolejną publikację, ale nie słyszałem, aby podkreślał tym jakieś związki z naszym regionem.

Po drodze był jeszcze komitet organizacyjny, którego rozmiary nakazywały organizowanie posiedzeń w wielkiej sali lubuskiego muzeum, żeby się wszyscy pomieścili. Z zabieraniem głosu było dość różnie, bo trwałoby to całymi dniami, żeby wszyscy, choć krótko, mogli się wypowiedzieć. Skład ciała organizacyjnego rekrutował się głównie z szefów zielonogórskich placówek kultu-

ry. I nie do pomyślenia było, żeby kogoś z nich zabrakło. Graniczyłoby to z afrotem i ujmą, jakby jeden dyrektor był w Komitecie, a drugiego, po sąsiedzku, nie było. Było kilku przedstawicieli aktywnych lubuskich stowarzyszeń, paru naukowców i urzędnicy. W trakcie prac nad przygotowaniem wyselekcjonowała się samoistnie jakaś wąska grupa, która zamknęła się szczelnie w sobie i przestała zauważać cokolwiek, co znajdowało się za miejskimi murami Zielonej Góry. Wyrugowano też z przygotowań pomysłodawców mających opracowaną wizję konferencji, których zaproszono tylko na końcowe spotkanie. Wystąpienia ich zaś umieszczono w marginalnych panelach dyskusyjnych niejako wycinając z głównego nurtu konferencji. Efekt promocyjny lubuskiego dorobku kultury w Warszawie okazał się w rzeczywistości dość mizerny – delikatnie mówiąc.

Patrząc na tę niezbyt odległą historię, trzeba mocno zastanowić się nad konstrukcją organizacyjną i formułą zaproponowanego na 2011 rok lubuskiego wydarzenia. Zasadniczym efektem powinno być przemysłane i skuteczne wyeksponowanie naszych osiągnięć na wrocławskim kongresie. Okazuje się, że inicjator ma gotową do zaproponowania koncepcję lubuskiej konferencji i pomysł na efektowną promocję kulturalnych dokonań. Niekoniecznie to musi być występ ludowego zespołu lubuskiego w kolorowych strojach czy pokazywanie na billboardach dzikich ostępów leśnych z wyróżniającą nas na tle kraju leśistości. A tak bliska geograficznie okazja nam się przez wiele lat nie przytrafi. Zaś jechać, choćby na takie zdarzenie do Lizbony czy Bolonii, to będzie już trochę daleko. A tu będziemy mieli na tacy podanych ludzi kultury z całej Europy oczekujących na informacje i prezentację dorobku z terenów Polski Zachodniej i w końcu nie tak daleko położonych od Wrocławia, Zielonej Góry i Gorzowa, a może nawet i podmiejskich prowincji, które dzięki technologiom cyfrowym mają niemal pełen dostęp do wiedzy o wydarzeniach i do samej kultury.

Odmiennym i dobrym pomysłem na promocję lubuskiego dorobku kulturalnego okazał się zrealizowany w 2002 roku VII Krajowy Kongres Regionalnych Towarzystw Kultury, który przez dwa dni obradował w gorzowskim teatrze. Kilkuset przybyłych na to spotkanie aktywnych działaczy kultury, twórców i dziennikarzy, za sprawą organizatorów wywodzących się z całego województwa lubuskiego, wywiozło sporą wiedzę na temat osiągnięć lubuskiej kultury. Jest to jeden z dobrych wzorców do przemyslenia przed rokiem Europejskiego Kongresu Kultury w 2011 roku.

Wojciech Jachimowicz

Autor artykułu jest założycielem i red. nacz. nowosolskiego pisma kulturalno-społecznego „Merkuriusz Regionalny”. Pismo to ukazuje się w cyklu kwartalnym od grudnia 2007 roku.

POLECAM W NUMERZIE

Mam wreszcie wymarzony ogród. Posadziłem kilka drzewek owocowych, chodzę koło nich, każdego dnia sprawdzam, czy się przyjęły, czy już rosną. Odwiedził mnie Adam, którego poprosiłem o sadzonki jego pysznych winogron i wiersz. Przywiózł ze swojego Gościem kilka sadzonek ukorzenionych w donicy. Wiersza nie przywiózł – jeszcze nad nim pracuję... – powiedział. Pokazałem mu z dumą swoje drzewka. Wymknęło się pytanie: – Czy nie za późno? Czy zdążę doczekać owoców? Drzewa tak wolno rosną... – Właśnie o tym piszę mój wiersz! – I nagle byliśmy na tej samej fali! Nazajutrz znalazłem wiersz w komputerowej pocztce. I ten wiersz przede wszystkim tej wiosny polecam. Smutny jest, ale jakże mądry i piękny. Cały Adam.

Po długiej przerwie „Pegaz” z trudem wyfrunął ze stajni, w której utył od nadmiaru wierszy i wydanych w międzyczasie książek. Stąd tyle słów o nich napisali recenzenci. Nowych wierszy też pełne dwie kolumny i jak zwykle interesujące wstępniaki. Marek Grewling filozofią obrabia nam dusze, a gość niespodziewany z Nowej Soli, red. Wojciech Jachimowicz, upomina się o lubuską kulturę w sposób o wiele mniej od Marka teoretyczny. Koniusz przesiewa się przez sito czasu, a wydarzeń literackich multum. I jeszcze zapraszam na przejażdżkę „Pegazem” ulicą Jana Kasprowicza...

Ireneusz

Adam Korzeniowski

Kiedyś było w nas morze
I wielka tęsknota
Noce rozkwitały
Drżącymi gwiazdami
I niczym bieguny
Splatały nam dłonie

Dotknij mnie raz jeszcze
Jakbyś była falą
Zabierz piach spod stopy
Abym mógł uwierzyć
Że pożądasz mnie jeszcze
Że śnię ci się czasem

Drzewa rosną zbyt wolno
By się nimi cieszyć
Cykle trwają zbyt długo
Abym mógł uwierzyć
Że jeśli znów się urodzę
Cokolwiek rozpoznam

To do czego wracam
Otacza mnie chłodem
Mówi – nie istnieje
Mówi – już mnie nie ma

Drzewa rosną zbyt wolno
A ja nie mam siły
By przywołać kształt piersi
Szorstką skórę sutka
Czy wilgotne wnętrze
Które wypelniałem

Boję się że nie będę
Potrafił cię znaleźć
Tak jak rozpoznać morza
W muszlach i solniczkach
Że o wszystkim zapomnę
Kiedy tu się zjawię



IMIONA ULIC

W Gorzowie na Górnym Mieście położonym na wzniesieniu między al. Konstytucji 3 Maja a ul. Jana Matejki jest wiele ulic wytyczonych w końcu drugiej dekady XX wieku, które po II wojnie światowej otrzymały imiona wybitnych polskich twórców, wśród nich poetów i pisarzy. Jedną z nich, równoległą do ul. J. Matejki i z drugiej M. Konopnickiej, nosi imię JANA KASPROWICZA,



Jan Kasprówicz – wielki zapomniany

Syn Józefa z Kłottów i Piotra z Inowrocławia, jeden z czternaścioro rodzeństwa, urodził się 12 XII 1860 r. w Szymborzu pod Inowrocławiem (obecnie dzielnica Inowrocławia). Ojciec był chłopem i analfabetą. Stanisław Przybyszewski rozgłosił, iż – podobnie jak Adam Mickiewicz – kilkulatni chłopiec doznał cudownego uleczenia ze śmiertelnej choroby, a wszystko to dzięki głębokiej religijności jego matki oraz łasce świętej płynącej z obrazu świętego Walentego. Inne źródła mówią o szczególnym doznaniu podczas wsłuchiwania się w grę wiejskiej piszczałki nad stawem, która zawałała sercem przyszłego poety. W późniejszych „Hymnach” wróci jeszcze ten pełen mistycyzmu obraz.

Gdy młody Jan ukończył naukę w miejscowej szkole, rodzice zachęcani przez nauczycieli postanowili kształcić go dalej. Była to trudna decyzja, gdyż z powodu biedy nie mogli mu zapewnić stancji w mieście. Ale przecież zapisali 10-letniego syna do gimnazjum w Inowrocławiu. Mały Janek drogę do szkoły i z powrotem musiał każdego dnia pokonywać pieszo. Gimnazjum, do którego uczęszczał, było niemieckie. Uczniowie zdobywali tam wykształcenie klasyczne i humanistyczne. Czytali w oryginale m. in. Ajschylosa, Sofoklesa, Ksenofonta, jak również Wergiliusza i Horacego. W czasie egzaminu obowiązywała znajomość Biblii i tradycji judeochrześcijańskiej. Lekcje języka ojczystego i polskiej literatury były nadobowiązkowe. Czytano m. in. Kochanowskiego, Krasińskiego, jak również utwory polskich romantyków. Już wtedy młody Kasprówicz otwarcie manifestował swą polskość, co nie podobało się władzom szkolnym. W przedostatniej klasie konflikt z nauczycielem Niemcem zmusił go do opuszczenia gimnazjum w Inowrocławiu. Niesubordynacja w stosunku do niemieckich władz szkolnych powtarzała się przez cały późniejszy uczniowski los Kasprówicza. Brał on aktywny udział w konspiracyjnych grupach samokształceniowo-patriotycznych, przez co musiał kilkakrotnie zmieniać szkoły. „Odwiedził” Poznań, Opole, Racibórz. Na koniec wreszcie w 1884 r. zrobił maturę w Poznaniu. Był już wówczas dwudziestoczteroletnim mężczyzną, po debiucie literackim w „Kłosach” (1882) z rekomendacją J. I. Kraszewskiego.

Po maturze rozpoczął studia filologiczno-filozoficzne na uniwersytecie w Lipsku. Jednak już po roku przeniósł się z Lipska do Wrocławia. Jego sytuacja materialna była wciąż trudna, choć otrzymywał pomoc od Józefa Kościelskiego, ziemianina i poety mieszkającego w Miłosławiu niedaleko Inowrocławia, który od najmłodszych lat opiekował się z dala Kasprówiczem, zapewniając mu podstawowe utrzymanie. Od 1962 r. do dziś 120 wybitnych młodych poetów otrzymało nagrodę imienia słynnej z bogactwa rodziny Kościelskich. W okresie wrocławskim Kasprówicz związał się z utopijną, niemiecką, socjalistyczną grupą młodzieżową, tzw. „ikaryjczykami”. Ich poglądy w tym okresie życia poety były mu bliskie: antyklerykalizm i demokratyzm społeczny. W 1887 r. na ślad grupy wpadła policja. W gronie oskarżonych znalazł się Kasprówicz. Został skazany na pół roku więzienia. Po odbyciu kary jeden z galicyjskich działaczy ludowych i wydawca, Bolesław Wysłouch, zaproponował mu przeniesienie się do Lwowa. Miałby tam objąć stanowisko redaktora w „Kurierze Lwowskim”. Poeta przyjął tę propozycję i wyjechał do Lwowa. W 1888 r. wydana została we Lwowie pierwsza książka Kasprówicza „Poezje”, pod patronatem Teodora Tomasza Jeża. Jego list pełen pochwał i życzeń skierowanych do autora został zamieszczony w niej jako przedmowa. Autor pomieścił w niej przede wszystkim wiersze liryczne i o akcentach radykalnych i buntowniczych.

Kasprówicz zaczął pisać już w szkole. Juwenilia jego były

naśladownictwem polskiej poezji romantycznej. Dopiero podczas studiów w Lipsku powstały bardziej dojrzałe i oryginalne utwory. Twórczość Kasprówicza w tym okresie i przez wiele lat następnych miała związek z sytuacją kulturalną i literacką Niemiec, gdzie święcił triumfy naturalizm, różny od francuskiego, zapowiadający już ekspresjonizm, w filozofii dominował wpływ Artura Schopenhauera i E. Hartmanna. Poeta, który wywarł w tym okresie wpływ na Kasprówicza, zarówno w dziedzinie ideologii, jak i poezji, był modny wówczas w Niemczech angielski romantyk P.B. Shelley. W kręgu tych inspiracji powstały m. in. poemat „Giordano Bruno” (1884) i poemat dramatyczny o cechach misterium „Aryman i Oromaz” (1885). Wkrótce jednak Kasprówicz wszedł w czysto naturalistyczny okres twórczości trwający do 1891 r. Przeważała wówczas tematyka chłopska, choć powstawały także utwory poświęcone miejskiemu proletariatu. Wiersze te, przeważnie narracyjne lub opisowe, są oryginalną i jedyną w skali europejskiej próbą stworzenia naturalistycznej poezji. Przynoszą także wiele nowatorskich rozwiązań w dziedzinie kompozycji, obrazowania i wersyfikacji. Powstały wówczas cykle wierszy m. in. „Obrazki natury”, „Z chałupy”, tom gawęd „Z chłopskiego zagonu” (1891). Charakterystyczna dla tych utworów – poza nowatorstwem tematycznym – jest konstrukcja narratora jako postaci znajdującej się wewnątrz środowiska.

Już w 1888 r. opublikował Kasprówicz w warszawskim „Życiu” parę wierszy noszących cechy liryki modernistycznej, dopiero jednak od 1891 r. jego twórczość nabrała konsekwentnie tego charakteru, zrazu w tomie „Miłość” (1895), obejmującym – oprócz trzeciej części tytułowej trylogii – trzy poematy pt. „Z gór”, następnie w „Krzaku dzikiej róży” (1898). W 1899 r. ukazał się poemat dramatyczny „Bunt Napierkiego”, tragedia o klęsce rewolucji społecznej w rezultacie niedojrzałości mas i niedoskonałości moralnej. Po okresie ekspresjonistycznym zauważa się w twórczości Kasprówicza nową tendencję („prymitywizm”), polegającą na sięganiu do obyczajów i folkloru wsi, kulcie prostego człowieka i powszedniości, poszukiwaniu naiwnych środków ekspresji artystycznej.

Po 1906 r. w liryce Kasprówicza dominuje pogodna akceptacja świata, franciszkanizm, wiara w osobowego Boga. Oprócz liryki, Kasprówicz pisał dramaty i uprawiał publicystykę, a także tłumaczył literaturę grecką, angielską, niemiecką, francuską, włoską, norweską i holenderską. Jego działalność translatorska obejmowała największe dzieła literatury od antyku aż do współczesności. Były to m. in. tragedie Ajschylosa, Eurypidesa, dramaty Marlowe’a, Szekspira, dzieła Goethego, Shelleya oraz pisarzy mu współczesnych: Maeterlincka, Rimbauda, Sudermanna, dzieła o tematyce filozoficznej.

W życiu osobistym nie zaznał w tym okresie szczęścia. W 1886 r. ożenił się z kilka lat starszą od siebie Teodozją Szymańską. Był to związek zaledwie kilkumiesięczny zakończony rozwodem i samobójstwem żony poety, ale pozostawił echa w jego twórczości (poemat pt. „Miłość”).

W 1893 r. żeni się po raz drugi, a już sześć lat później przeżywa dramatyczne odejście żony – Jadwigi z Gąsowskich, z przysięgniętym do ich mieszkania Stanisławem Przybyszewskim. Zostaje sam z dwiema

córkami, Anną i Janiną. Załamaniu uległy wszystkie jego dotychczasowe ideały; przeświadczenie o zbawiennej sile miłości, sensie cierpienia oraz dobroci Boga. Rozpacz poety z całą jaskrawością wyrażona została w dwóch tomach hymnów: „Ginącemu światu” (1901) i „Salve Regina” (1902), które – jak sam autor przyznaje – „wadzą się z Bogiem”. Ówczesna poezja Kasprówicza, przepełniona krzykiem i cierpieniem, określana bywa jako bluźniercza, „Bogoburcza” oraz katastroficzna. Jednocześnie jest ona bardzo erudycyjna i hermetyczna, czytelna jedynie dla „niewielu szczęśliwych”, inkrustowana licznymi kryptocytatami i biblijnymi parafrazami. Wcześniej poeta pałał nadzieją na zreformowanie świata, zbawienie klas pokrzywdzonych społecznie. Teraz – wręcz przeciwnie; pojawiają się nie tylko akcenty zwątpienia, ale wręcz zuchwałe bluźnierstwa nakazujące adorację Grzechu, a nawet mizantropia zrodzona z odrazy do „dzieci Adama”, czy mizoginiczne aluzje do „pramatki Grzechu, jasnowłosej Ewy, z gadziną zdrady u swych białych stóp”. Znamienne jest tu gnostyckie przekonanie poety, jakoby Ewę łączyć miał z rajskim wężem stosunek cielesny. Kobięcymi bohaterkami hymnów Kasprówicza zostały wielkie biblijne grzesznice, takie jak Herodiada czy Salome. Kasprówicz przestał wierzyć wówczas w boskie wstawianictwo obiecane przez Ewangelię. Dostrzegł samotność człowieka i okrucieństwo nieczulego, milczącego Boga. Miłość i pokój stały się „ogniem trawiącym”, „zabójczą tęsknicą” i „ślepy m przerażeniem”. W „Hymnach” światem rządzi Szatan, któremu autor składa cześć i dziękczynienie, jako temu, który – w przeciwieństwie do Jahwe – zawsze był blisko człowieka.

**W umarłych bytów milczeniu głębokiem
słychać jedynie Amen, moje straszne Amen.
O Boże miłosierny, zmiłuj się nad nami!
Kyrie elejson!
Przedemną przepaść, zrodzona przez winę,
przez grzech Twój, Boże!... Ginę! ginę! ginę!
Amen.**

(„Dies irae” z tomu „Ginącemu światu”)

„Hymny” w dość śmiały sposób obnażają również takie obszary ludzkiej psychiki, jak skłonność do dewiacji i okrucieństwa, dokonywanego zwłaszcza na tle seksualnym. Jeden z wierszy, zatytułowany po prostu „Salome”, przedstawia pełen erotyzmu weselny monolog głównej bohaterki skierowany do świętej głowy Jana Chrzciciela. Pewne jego fragmenty są wręcz bluźnierczą parafrazą „Pieśni nad Pieśniami”.

W 1911 r. Kasprówicz jeszcze raz się żeni. Jego trzecią żoną zostaje poznana we Włoszech, 19-letnia córka carskiego generała – Maria Bunin, pieszczotliwie nazywaną Marusią. Tak ją opisał w „Młodej Polsce” historyk literatury Artur Hutnikiewicz: „Znacznie od niego młodszą, niezbyt ładną, ale wdzięczną, bardzo dziewczęcą, wrażliwą, nie pozbawioną talentów literackich (...), opromieniała swą młodością schyłek jego życia” (s.119). Istotnie, trwające aż do śmierci małżeństwo Jana Kasprówicza z Marią Bunin, na nowo rozpało w domu poety ognisko domowe. Jej literacki wizerunek utrwalił Kasprówicz w trzech wierszach oraz kilku innych fragmentach „Księgi ubogich”:

**Umilowanie ty moje!
Kształty nieomal dziecięce!
Skoń dotąd nie pomarszczona,
Białe, wążutkie ręce! (...)**

**Lubię, gdy siedząc przy stole,
Sięgasz po kromkę chleba
I dzieląc ją, dajesz mi cząstkę,
Czy trzeba mi, czy nie trzeba.**

**Lubię, gdy gubiąc się w dali,
Gdzie Wierch się rozsiadł Lodowy,
Czoło, przyćmione zadumą,
Do mojej tulisz głowy.**

(wiersz XII z tomu „Księga ubogich”)

W latach 1902-1906 był Kasprówicz redaktorem narodowo-demokratycznego „Słowa Polskiego”. W tym czasie poeta przeniknął do lwowskiej bohemy artystycznej. Stał się „lwem salonowym”: bywał częstym gościem knajp i winiarni Lwowa, szczególnie zaś upodobał sobie sławny skład win i winiarnię Stadtmueller’a w Rynku, nr 34.

Kasprówicz w różnych okresach życia osobistego, pracy twórczej czy naukowej nigdy nie zaniechał działalności społeczno-politycznej. W 1894 r. został członkiem Ligi Narodowej. W 1914 r. brał udział w interwencji na rzecz uwolnienia Włodzimierza Lenina, uwięzionego przez władze austriackie w Nowym Targu. W czasie wojny i w okresie odzyskania niepodległości uczestniczył w działaniach o charakterze narodowym. Był zwolennikiem państw koalicji. Razem z Żeromskim, który przebywał wtedy w Zakopanem, uczestniczył w akcjach skierowanym przeciwko aktywistom po stronie państw centralnych. W 1920 r. w czasie plebiscytu na Warmii i Mazurach uczestniczył w agitacji na rzecz przyłączenia tych ziem do Polski.

Jego działalność naukowa i dorobek w tej dziedzinie to materiał na duży, osobny rozdział. Dość wspomnieć, że w 1904 r. doktoryzował się na Uniwersytecie Lwowskim na podstawie pracy o lirycie Teofila Lenartowicza, a w 1909 r. objął tam katedrę literatury porównawczej specjalnie dla niego utworzoną, w związku z jego wieloletnią pracą przekładową. Przez dwa lata (1921-1922) był rektorem tej uczelni.

Od 1924 r. zamieszkał w Harendzie. Była to piętrowa willa wybudowana w 1920 r. między Zakopanem a Poroninem, na wysokim brzegu rzeczki Zakopianki przez Jana Klusia Fudalę dla angielskiej malarki Winnifred Cooper. Jan Kasprówicz zwykł podobno mawiać, że wile w Zakopanem, zafundował mu „pewien Anglik, niejaki Szekspir”. W rzeczy samej odkupił go od Angielki za pieniądze otrzymane w ramach zaliczki za tłumaczenie literatury angielskiej. Stolicę Tatr odwiedzał regularnie już od 1892 r. Chętnie uczestniczył w lokalnym życiu kulturalnym, częstym gościem był również w Poroninie. W Harendzie Jan Kasprówicz spędził ostatnie trzy lata swojego życia, które należały do najszcześniejszych. Tu powstały jego wiersze składające się na cykl „Mój świat”. Zmarł 1 sierpnia 1926 r.

Po śmierci pisarza atmosferę intelektualnego ośrodka podtrzymywała jego żona Marusia, która skupiała wokół siebie spore grono pisarzy i artystów mieszkających stale lub czasowo w Zakopanem (Choromański, Witkacy, Gombrowicz, Szymanowski, Worcell). W 1950 r. pani Kasprówiczowa przekazała trzy pokoje willi na Muzeum Jana Kasprówicza. Od 1964 r. mieści się tam także siedziba Stowarzyszenia Przyjaciół Twórczości Jana Kasprówicza. Piętro willi zajmowała córka Kasprówicza, Anna Jarocka, a po jej śmierci pomieszczenia przeszły na własność muzeum. Nieopodal budynku znajduje się granitowe mauzoleum zaprojektowane przez Karola Stryjeńskiego, kryjące prochy poety i Marii Kasprówiczowej.

Jan Kasprówicz – jeden z najwybitniejszych poetów okresu Młodej Polski, dramaturg i tłumacz – został pochowany na cmentarzu „Na Pęksowym Brzyzku”, ale w latach 30. prochy poety przeniesiono do granitowego mauzoleum wybudowanego obok jego domu. W parterowym budynku widać wyraźne wpływy stylu zakopiańskiego, a plan wnętrza przypomina chatę góralską: pokój stołowy to sień, salonik – izba czarna, sypialnia – izba biała. Z tyłu domu są kuchnia i biblioteka. Zwiedzającym udostępniono tylko jadalnię, salonik oraz sypialnię, gdzie można obejrzeć liczne pamiątki po Kasprówiczu, meble podhalańskie oraz góralską sztukę ludową. Uwagę zwracają trzy portrety pędzla Witkacego – dwa przedstawiające poetę i jeden jego żonę Marusię.

Warto odwiedzić Harendę, aby poczuć atmosferę, w której żył i tworzył autor „Krzaku dzikiej róży w Ciemnych Smreczynach”, pospacerować po wysokiej skarpie nad rzeką Zakopianką, zwiedzić zażytkowy kościół św. Jana Apostoła i Ewangelisty z początku XVIII w. (przeniesiony z okolic Wadowic), a wieczorem pójść do muzeum na spotkanie poetyckie organizowane przez Stowarzyszenie Przyjaciół Twórczości Jana Kasprówicza.

oprac. Ireneusz K. Szmidt



Willa Kasprówicza „Harenda” w Zakopanem

Źródła:

Literatura polska. Przewodnik encyklopedyczny. Pod redakcją Juliana Krzyżanowskiego (od 1976 Czesława Hernasa), Warszawa 1984;

Jan Kasprówicz, Poezje, wstęp: Jan Józef Lipski, Czytelnik, Warszawa 1957, s. 10;

Artur Hutnikiewicz, „Młoda Polska”, PWN, Warszawa 2004

Janusz Koniusz o sicie czasu

Pytania zadaje Beata Patrycja Klary

- Jak rozpoczęła się Twoja, Januszu, przygoda z poezją?

Zacząła się typowo, czyli banalnie. Bodajże w siódmej klasie zadurzyłem się w koleżance. To moje pierwsze uczucie musiało być od razu bardzo duże, bo „kropnąłem”, żeby użyć określenia Wieszcza, poemat mniej więcej długości „Grażyny”. Miał tytuł „Janina”. W liceum pisałem wiersze do innej dziewczyny. Również było w nich jej imię, jak w balladach Mickiewicza, i także na literę M. Zacząłem zatem od rymowanych komunikatów miłosnych, by powiedzieć nieomal całemu światu o moim uczuciu do konkretnej osoby. Zwykły list czy szept mi nie wystarczał. Wiersze pisane do wszystkich, czyli do nikogo, przysłyły później.

Były jeszcze inne aspekty tej przygody. Wyłonić się z tł... albo pokazać się na tle. Dać znać, zakomunikować, że się istnieje. Druk wiersza jakoś wyróżniał, absolutnie nieśmiało, a takim byłem, dodawał nieco pewności siebie. Zwracał na mnie uwagę. Nobilitował. Uwalniał, choć nigdy do końca, od przeróżnych kompleksów. To były naczynia połączone.

Trzeba pamiętać, że w początkach lat pięćdziesiątych, kiedy to ukazało się kilka moich tekstów, pism drukujących u nas wiersze było bardzo mało. Dwa, trzy. Obowiązywał tak zwany realizm socjalistyczny. Aby wiersz miłosny mógł się ukazać, należało pomieścić w nim jakąś ideologiczną, propagandową metaforę. Albo do wiersza miłosnego dodać wiersz o kopalni, spółdzielni produkcyjnej, przodownikach pracy, walce klas. Tak robili wtedy wszyscy, nawet wybitni poeci, a co dopiero tacy jak ja, absolutnie początkujący. A kiedy jest się bardzo młodym, pragnie się swoje wiersze drukować, choćby na własnej skórze. Więc dobrze rozumiem młodych, którzy chcą za wszelką cenę publikować.

Niebagatelne znaczenie, przynajmniej dla mnie, miały skromne, ale jednak, honoraria, które wtedy płaciły wszystkie redakcje i wydawnictwa za druk wierszy, co dzisiaj po półwieczu zdarza się rzadko. Za nagrodę w konkursie poetyckim i pierwsze honorarium kupiłem pierwszy w życiu zegarek. Dla ucznia, potem studenta, który codziennie dojeżdżał pociągiem z Mysłowic do Katowic, zegarek był niezwykle przydatny. Przyczyn, powodów, źródeł, że ktoś we wczesnej młodości chwyta za przysłowiowe pióro, jest wiele. Później tych powodów staje się jakby mniej. Ale o tym może dalej.

- Znak Twoją poezję narzuca mi się skojarzenie z poetyką dwudziestolecia międzywojennego - a może się mylę?

— Wcale się nie mylisz. Tylko twórcy najwybitniejsi, genialni, a jest ich, jak wiemy, niewielu, kilku, kilkunastu na cały wiek, wszystko zachynają jakby od początku - tworzą nowe wizje artystyczne, nowe kierunki literackie, nowe poetyki. Pozostali mniej lub bardziej (w zależności od talentu) korzystają z dorobku poprzedników. Zwykle, żeby się tutaj powołać na Norwida, wnuk sięga do twórczości pokolenia swoich dziadków. Następuje nieustające przewartościowywanie tradycji.

Od najmłodszych lat interesowałem się poezją. Już w szkole podstawowej odkryłem dla siebie, bo się z tym nikomu nie zdradzałem, międzywojenne i wojenne wiersze Przybosa, Ważyka, Piętaka, Ożoga, których po latach miałem zaszczyt gościć w Zielonej Górze. Zacztywałem się w wierszach Szenwalda, Beaty Obertyńskiej. Już jako licealista należałem do koła młodych pisarzy przy Związku Literatów w Katowicach. W siedzibie Związku spotykali się tak zwani starzy literaci, i my z koła młodych, chociaż metrykalnie nie wszyscy byli młodzi. Ludzie o różnych temperamentach, doświadczeniach życiowych, o różnej wiedzy. Często wtedy do Katowic na spotkania autorskie, z odczytami przyjeżdżali powszechnie znani pisarze z Warszawy, Krakowa, Wrocławia. Posyłano nas z koła także na różne zjazdy literackie: do Nieborowa, Obór, Poznania. I tak miałem wtedy zaszczyt zetknąć się z Broniewskim, Gałczyńskim, Jastrunem, Iwaszkiewiczem, Andrzejewskim, Zofią Nałkowską, Wisławą Szymborską, Tadeuszem Borowskim,



Wawrzyn dla Janusza
z rąk Mirosława Rataja - 2008 r.

Putramentem i wielu, wielu innymi. Odczyty, dyskusje, rozmowy kularowe to były dla mnie prawdziwe lekcje literatury. Dyskutowano także o poezji dwudziestolecia. A ta poezja to był nie tylko szkolny, pacyfistyczny, postępowy, jak go nazywano, Tuwim, czy rewolucyjny Broniewski, ale również Przyboś, Peiper, Wat, Stern, Żegadłowicz, Sebyła, Piwowar, wczesny Ważyk. Różne poetyki, różne poetyckie języki, różne widzenia świata, który w poezji należy – jak zalecał Przyboś – wyrażać, a nie opisywać. Metaforyzować. Jak najmniej słów, jak najwięcej treści, żeby przywołać tu słynną maksymę tego poety – teoretyka i wizjonera poezji. Szczególne wrażenie wywarły na mnie przeczytane wtedy jednym tchem wiersze Czechowicza. Bez dużych liter, muzyczne, o niedokładnych rymach.

- Jaką drogę Ty wybrałeś?

Byłem za młody i za mało uzdolniony, aby w tym gąszczu poetyk, opinii, sporów pójść własną, oryginalną, poetycką drogą. W opublikowanym w 1951 r. na łamach „Życia Literackiego” wierszu „Droga”, który uważam za swój debiut prasowy, słowo „droga” użyłem zupełnie podświadomie w kilku znaczeniach. Zawsze powtarzam, że gdybym wówczas poszedł tą poetycką drogą, może byłbym dziś ojcem poezji lingwistycznej. Po pięciu czy sześciu latach od tamtego debiutu przystałem jako uczeń do szkoły lingwistycznej Tymoteusza Karpowicza, któremu zawdzięczam debiut książkowy, wydany w 1958 r. w serii tak zwanych Wrocławskich Arkuszy Poetyckich. Znalazłem się w doborowym towarzystwie, bo w serii tej opublikowali swoje wiersze Urszula Koziół, Andrzej Bartyński, no i sam mistrz – Karpowicz.

- Kto silnie oddziaływał i oddziałuje na Twoją twórczość?

— Trudno mi na to pytanie odpowiedzieć jednoznacznie. Fascynuje mnie wielu poetów, ale staram się pisać wiersze być od ich poezji jak najdalej. By być sobą, wyrażać siebie przy pomocy własnego języka, podejmować własne tematy, od nikogo niczego nie zapożyczać. Ale, być może, powtarzam, być może, udało mi się to w jakimś minimalnym stopniu w jednym, dwu wierszach na mniej więcej trzysta napisanych. Ten jedyny, najlepszy, do żadnego innego wiersza niepodobny, ten prawdziwy mój wiersz jest ciągle przede mną. Nie sądzę, aby moje wiersze od „Tempa krążenia”, tego wrocławskiego debiutu, zbyt ewoluowały. Tematyka ostatniego tomiku „Po wyjściu z arki” jest mniej więcej taka sama jak w poprzednich zbiorach. Ja, moje dzieciństwo i młodość w środowisku górniczym, w „Trójkacie Trzech Cesarzy” na styku Śląska i Zagłębia Dąbrowskiego, ten mój upadek z gałęzi drzewa genealogicznego, upływ czasu jak upływ krwi, opisy przyrody, reminiscencje z podróży, nawiązywanie do postaci historycznych, biblijnych, literackich, do różnych archetypów, Noe, arka, potop, Hamlet etc. Jeśli do tego zestawu coś ostatnio dodałem, to wiersze o starości. O nicości, której oby nie było. W tych wierszach nie dostrzegam większych zmian formalnych. Niektóre być może są zanadto rozgadane, ale gadatliwość to nieuleczalny przywilej ludzi starych, do których mnie ZUS przed kilkoma laty z urzędu zaliczył.

- Która Twoja książka jest Tobie najbliższa?

Największy sentyment zwykle czuje się do ostatniego tomiku. Mam sentyment do kilku dawniejszych wierszy, które ciągle przera-

OPERACJA

*Gotfried Benn lekarz medycyny
w stopniu majora Wehrmachtu
w lazarecie na oddziale chorych na raka wojny
rozgrzanym do białości bagnetem ordynansa
bez znieczulenia
na własnej ręce do żywego mięsa znamię nazizmu wypalił
gdyż przeszkadzało mu w pisaniu zdrowych wierszy
i z bólu utracił świadomość
Na równe nogi
postawił go marsz kamratów
grany na placu alarmowym
przez wojskową orkiestrę przed wymarszem na front*

KULOMIOT

*Z łaski bóstw na Olimpie
po obrocie wokół własnej osi
na niebotyczną odległość
pchnął kulę ziemską
która z zachwytu
na jego piersi
wzeszła
złotym medalem słońca*

RACHUNEK SUMIENIA

*Mój jedyny syn nie doczekał się poczęcia
Nikt nie padnie z jego ręki*

*Nikt nie zginie pod gruzami mojego domu
który rozsypał się w wyobraźni architekta*

*Nie posadziłem drzewa
Uratowałem czyjeś życie*

Dobrych uczynków więcej nie pamiętam

ROZCZAROWANIE

*Ciągle cięży mi głowa
jakkby cały świat na niej dźwigał
a noszę jedynie
dwa siwe włosy
na krzyż
które wciąż dzielę
na czworo*

ŁZA

*Polaty się łzy wielkie rzesiste
na poetę
gdy zmarł*

*ani jedna łza
nie spłynie
na mnie*

Janusz Koniusz

biam i poprawiam, żeby były lepsze. Odległość w czasie, druk, straszliwie obnażają tekst, wyraźnie ukazują jego wszystkie mankamenty. „Zamysł opisu” mój, może nie najlepszy, ale najważniejszy, jak do tychczas wiersz, który zaczyna się od słów „Opisać śmierć dwunastu górników w katedrze kopalni”, ma ze dwadzieścia wersji. Zawsze mi się wydaje, że wersja ostatnia jest najlepsza, ale czy tak jest istotnie? Pewnym sentymentem darzę jeszcze kilka razy przerabiane „Stworzenie świata”, „Ty”, „Z Kaina i Abla”, „Ład i chaos”, które chyba najlepiej wyrażają moją filozofię. Łudzę się, że może właśnie któryś z tych ciągle poprawianych wierszy znajdzie się w antologii stu poetów lubuskich, która powinna się ukazać w 2045 r. w setną rocznicę powrotu Ziemi Lubuskiej do Polski, kiedy to spełniło się marzenie nie tylko Jana Długosza.

- Poezja – jak ją pojmujesz?

Poezję uważam za drugą, tę jaśniejszą, stronę filozofii. Sensem, istotą i poezji, i filozofii jest przede wszystkim stawianie pytań. Pierwsza czyni to językiem metaforycznym, językiem obrazów, druga językiem pojęć. „Gdziekolwiek jest, jeśliś jest”. „Com jest”, kim jestem ja, człowiek? To ważniejsze pytania w dziejach naszej poezji. Pierwsze postawił, jak wiemy, Kochanowski, drugie mniej znany, ale także znamienity poeta Sebastian Grabowiecki, który swój żywot Europejczyka, jakbyśmy dziś powiedzieli, dyplomaty, zakończył jako mnich w Bledzewie koło Skwierzyny. Był wybitnym poetą metafizycznym, filozofem w poezji. Mój ideał wiersza to wiersz, który mówi o czymś istotnym, ważnym, dostrzega szczegół w ogóle, zwięzły, napisany w jednej materii słownej, w jednej poetyce, konsekwentny od tytułu do puenty. Pomysłowo skonstruowany. Wiersz, w którym nie można wykreślić słowa, bo się rozsypie.

Słońce pali

A ziemia idzie w popiół prawie

Rzeki dnem uciekają

To nie fragment wiersza współczesnego poety. To opis upalnego lata, który wyszedł spod pióra Kochanowskiego prawie pięćset lat temu. Opis genialny. Dziś pisanie wierszy to odwaga granicząca niemal z bezczelnością. Chyba że się było Leśmianem, Przybosiem, Herbermem. Jest się Szymborską.

Aby jednak mogli być wielcy, muszą być i mali. Tak jest w każdej dziedzinie twórczości, w całym naszym życiu. Literatura bardzo szybko zamienia się w makulaturę, w zbiór papierzysk, w papierową magmę, po prostu w śmietnik. W coraz grubszych, szybko butwiejących warstwach historii literatury kryją się tysiące zapomnianych nazwisk, miliony utworów. I nic na to nie poradzimy.

- Mieszkasz w Zielonej Górze, jesteś związany z lubuskim życiem literackim. Jak oceniasz to, co się dzieje w poezji tego środowiska i czy zauważasz wyjątkowe talenty?

- Zadałaś mi co najmniej trzy pytania, więc po kolei. Trudno mi mówić o wierszach innych autorów, gdy sam jestem pełen winy. Zawsze będzie tu sporo subiektywizmu, który w takich przypadkach jest nieunikniony. Ponadto nie jestem krytykiem, recenzentem literackim. Wydaje się dziś rocznie, tak jak w całej Polsce, i w Gorzowskiem, i w Zielonogórskim sporo tomików wierszy, może nawet za dużo, bo nie ma dawniejszej redakcyjnej selekcji, wewnętrznych wydawniczych recenzji. Kto ma pieniądze, ten wydaje. A w sztuce, jak wiadomo, liczy się tylko i wyłącznie jakość. Liczą się arcydzieła. Jeśli odśiać zupełnie nieporozumienia wydawnicze, w każdym roku znajdzie się kilka pozycji godnych przeczytania. Są to wiersze na dobrym, średnim poziomie. „Jadalne”, jak zwykł mawiać gorzowski poeta Zdzisław Morawski. Nie gorsze od tych, które powstają w większych środowiskach. Wydają autorzy nie tylko z Gorzowa i Zielonej Góry, również z Sulechowa, Sulęcina, Międzyrzecza, Żar. Nie wymieniam nazwisk, żeby nikogo przy okazji nie pominąć, nie skrzywdzić, nie zapeszyć. Niektóre zbiory wierszy, także prozy, w ostatnim piętnastolecu zostały wyróżnio-

dok. na str. 8

cd. ze str. 7

ne lubuskim wawrzynem literackim. To sygnał, że coś, przynajmniej w oczach jury, znaczą, że się na tle innych w danym roku wyróżniły. Że warto je wziąć do ręki.

Po transformacji ustrojowej twórcy zyskali wolność, ale stracili na prestiżu. Coś za coś. Książka, także poetycka, w księgarni stała się takim samym towarem jak para butów w sklepie obuwniczym. Podąż wierszy jest ogromna, popyt minimalny, więc księgarnie, jak wszystkie inne sklepy nastawione na zysk, nie chcą przyjmować w komis tomików poetyckich. I koło się zamyka, bo tracimy i tak już niewielu miłośników poezji. Więc przed nami stoi zadanie propagowania poezji w szkołach, przy okazji różnych imprez. Wielką szansą upowszechnienia poezji może być, a może już się stał, Internet. Ale nad tym także nikt nie panuje. Panoszy się wierszowana tandeta, trzeba wielkiej cierpliwości i czasu, żeby z tego coś ciekawego wydłuskać. Najlepszym krytykiem literackim jest czas, on ostatecznie wszystko zweryfikuje. Pozostawi prawdziwe diamenty. Może również kogoś z naszego środowiska ocali, jakby powiedział mistrz Ildefons, od zapomnienia.

- Często prowadzisz warsztaty literackie. Czy nie wydaje Ci się, że ciąży na Tobie duża odpowiedzialność – przecież możesz kogoś skrzywdzić poetycko?

- Pozornie może tak być. Nie ma, na całe szczęście, uniwersalnych kryteriów oceny dzieł sztuki, dzieł literackich. Wiersza nie można zważyć ani zmierzyć i powiedzieć, że ten większy i cięższy jest lepszy od tego mniejszego i lżejszego. Wszystko jest sprawą indywidualnych, zmiennych gustów krytyków, które na szczęście nie zawsze pokrywają się z gustami czytelników. Historia literatury jest także historią literackich pomyłek. Utało się twierdzenie, że pisarza w świecie nobilituje nagroda Nobla, że ona go unieśmiertelnia, uwiecznia. Nobla nie otrzymał Lew Tołstoj, geniusz pisarski wszech czasów. A otrzymali pisarze zupełnie już dziś zapomniani. Podczas warsztatów mam to wszystko w pamięci i robi mi się lżej. W wierszach, które omawiamy podczas zajęć, usiłuję znaleźć jakąś interesującą metaforę, jakieś ciekawsze stwierdzenie, coś własnego autora. A równocześnie pokazać, że ten sam tekst nie zmieniając jego treści, idei, filozofii, można napisać inaczej. Użyć innych słów. Bardziej nośnych, bardziej poetyckich. A jeśli komuś źle doradzę? Prawdziwy talent na tym nie ucierpi. Znakomicie sam się obroni. A ponadto większość piszących wiersze, ja także, robi to w celach terapeutycznych. Dla siebie, dla najbliższych, dla własnej satysfakcji. Bez mesjanistycznego zadęcia. Patriotycznych pobudek. Giełda się liczy. Kurs złotego. Sytuacja na rynkach pracy. Gra reprezentacji Polski w piłce nożnej. I jeszcze kilka innych rzeczy, które z wierszami nic nie mają wspólnego.

- Kogo uważasz za najważniejszych współczesnych poetów?

-Ważnych współczesnych poetów, mówimy o polskich oczywiście, jest kilkunastu. Trzeba odróżnić poetów swego czasu bardzo popularnych, którzy jednak niewiele wnieśli do poezji jak np. Słonimski. I mniej czytanych, którzy tę poezję głęboko przeorali. Wnieśli ją na europejskie wyżyny. Od lat usiłuję ułożyć swoją prywatną listę dwudziestu najwybitniejszych poetów XX wieku. To znaczy tych, którzy debiutowali po roku 1900. Tę listę ciągle zmieniam. Zawsze jednak na niej znajduje się Leśmian, Przyboś, Tuwim, Gałczyński, Iwaskiewicz, Czechowicz, Baczyński, Różewicz, Miłosz, Szymborska, Białoszewski, Herbert, ostatnio doszedł Zagajewski. Nie wiem, co zrobić ze Staffem, który swoim debiutem „Sny o potędze” wydanym w 1901 r. kalendarzowo rozpoczął naszą dwudziestowieczną poezję, Broniewskim, Lechoniem, Wierzyńskim, Pawlikowską-Jasnorzewską, Watem, Ważykiem, Sternem, Karpowiczem, Jastrunem, Grochowiakiem, Barańczakiem i kilkoma innymi. Raz ich na tę listę wpisuję, innym razem znów skreślam. Nie mam wątpliwości, że za kilkadziesiąt lat ze świadomości ówczesnych czytelników poezji zniknie większość tych nazwisk. A mogą się pojawić zupełnie inne nazwiska. Sito czasu, jak wiemy, jest niewyobrażalnie gęste. A młyny historii bez przerwy miały na pełnych obrotach.

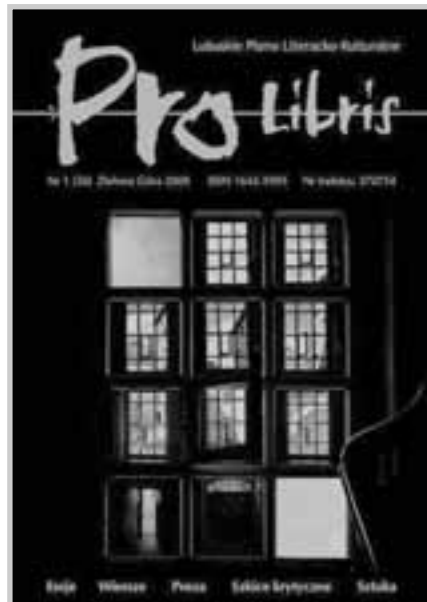
„Pro Libris” w okowach feminizmu

Spotkanie promujące najnowsze wydanie Lubuskiego Pisma Literacko-Kulturalnego „Pro Libris” nr 1 (26), które miało miejsce 3 kwietnia 2009 r. w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej w Gorzowie Wielkopolskim, zgromadziło rzeszę czytelników tego pisma. Przyszli publikujący, ci o których na łamach periodyku można przeczytać, a także przedstawiciele redakcji. Spośród publikujących w tym numerze byli: prezes lubuskiego Stowarzyszenia na Rzecz Kobiet „Baba” Anna Kucharska-Dziedzic, historyk sztuki Uniwersytetu Humboldtów w Berlinie Lidia Głuchowska, artystka Agnieszka Gracze-Czarkowska, literaci Ewa Andrzejewska, Krystyna Kamińska, Janusz Koniusz, Czesław Sobkowiak, Alfred Siatecki, Zbigniew Kozłowski, Karol Graczyk i dziennikarka Elżbieta Wozowska-Leszko.

Spotkanie moderował zastępca redaktora naczelnego Grzegorz Gorzechowski.

Ze strony niemieckiej przybył Michael Kurzwelly, założyciel Stowarzyszenia Słubfurt, które powstało w 1999 r. Tak opowiedział o tym przedsięwzięciu: Ideą powstania stowarzyszenia było prowadzenie działań na rzecz połączenia obu miast (Słubice, Frankfurt) w jedną przestrzeń miejską i kulturową. Stąd też nazwa SŁUBice i frankFURT. Najważniejsze projekty to: „Miasto Europejskie”, „Przyroda - dziedzictwo - człowiek”. Oba projekty miały charakter łączący mieszkańców Słubicy i Frankfurta. Pierwszy poprzez rozwój handlu, usług i międzynarodowe imprezy kulturalne; drugi poprzez wspólne poznawanie historii i przyrody. Dzięki tym zadaniom poznaliśmy bliżej siebie oraz naszą odmienność kulturową. Wiele pracy włożyliśmy w rozwój naszej/naszych organizacji, przygotowując dla nas samych warsztaty z komunikacji i budowania zespołu. Teraz chcemy zdobytą wiedzę przekazać dalej, działającym w obu miastach organizacjom. Wraz ze studentami Uniwersytetu Europejskiego Viadrina we Frankfurcie nad Odrą opracowują konstytucję Słubfurta. Zachęcam do odwiedzenia strony www.slubfurt.net.

Głównym tematem spotkania był feminizm, czyli ideologia wyzwolenia kobiet, bowiem istotą wszelkich nurtów feministycznych jest przekonanie, że kobieta cierpi niesprawiedliwość z powodu własnej płci. Zarówno Anna Kucharska-Dziedzic, jak i Lidia Głuchowska nazywają siebie „ekofeministkami drugiego rzutu”. Jest to wynikiem faktu, że odmian feminizmu (od przełomu XIX i XX w., kiedy to pojawił się ruch amerykańskich



sufrażystek) jest wiele. W roku 1963 wydano książkę Betty Fridan pt. „Mistyka kobiecości”. Była ona ważną inspiracją dla feminizmu liberalnego. Ruch ten określany jest raczej jako styl myślenia i działania, a jego działaczki i działacze są zaangażowani w działalność wielu organizacji. Feministki liberalne nie



*Na zdjęciu: Maria Morawska i Czesław Sobkowiak
Fot. Danuta Zielińska*

atakują systemu ani jego prawomocności, ale szukają dróg poprawienia sytuacji kobiet w obrębie istniejącego systemu. Inaczej jest z feminizmem radykalnym, który wyrósł ze środowiska marksistowskiej Nowej Lewicy. Feminizm radykalny twierdzi, że demokracja jest kamuflażem ukrywającym ucisk kobiet przez mężczyzn. Wyjściem z tej sytuacji może być zorganizowanie zupełnie nowego społeczeństwa, w którym nie będzie uciskających i uciskanych, i w którym wszyscy będą się troszczyć o wspólne dobro. To feminizm agresywny. Innymi odmianami są: feminizm socjalistyczny (ruch o nieostrej tożsamości, czasem określany jako działalność charytatywna organizacji związanych z kościołami, stowarzyszeniami i innymi instytucjami pozarządowymi, które niosą pomoc socjalną potrzebującym kobietom), feminizm kulturowy (prezentujący pogląd o wyższości kobiecej kultury nad męską, negatywnie ustosunkowany do chrześcijaństwa) czy feminizm trzeciej fali (zwany feminizmem siły, działający obok feminizmu tradycyjnego, a traktowany jako polityczna siła, dzięki której można odnieść polityczny sukces).

Na spotkaniu autorki artykułów o tematyce feministycznej zarzuciły zebranych potępieńczymi słowami o braku legalizacji aborcji w Polsce, o maltretowaniu i molestowaniu kobiet. Poruszono również sprawę Doroty Nieznańskiej, artystki, która wykonała instalację „Pasja” (genitalia i krzyż), za co została skazana wyrokiem sądu za obrazę uczuć religijnych. Uczestnicy spotkania chętnie dyskutowali nad feminizmem, zupełnie pomijając sprawę w „Pro Libris” przecież najważniejszą – sprawę literatury, w tym poezji. Wiersza nie usłyszeliśmy żadnego, o fragmencie prozy nie było co marzyć. Na szczęście do głosu doszła na chwilę Krystyna Kamińska, która w tym numerze w dziale „Krajobrazy Lubuskie” zamieszczała artykuł prezentujący Gorzów Wielkopolski – z jego historią powojenną i splecionymi losami wcześniejszych mieszkańców Landsbergu an der Warthe.

Z całą pewnością spotkanie można uznać za ciekawe.

Beata Patrycja Klary

Joanna Ziemińska-Kurek

Amsterdam Café

1.

Chciałam wejść do Amsterdam Café
ale powiedziałaś: tam obok
podają dobre ciastka czekoladowe więc weszliśmy
blondynka za barem uśmiechnęła się
choć mój wzrok omiótł ją tak samo
jak podłużne pyszczki aniołów na nitkach
zwisających z sufitu i kiedy Rod Stewart
chropowatym szeptem wyznał miłość Matyldzie
nad filiżanką białej kawy weszli
nieznajomi ona otulona w jego ramiona
zapachniały laski cynamonu
na gałązkach zielonego świerku które podniosłam
abyś mógł zrozumieć
metaforę Prousta.

2.

Kiedy usiedliśmy przy ciemnym stoliku barmanka
przecierała blat serwetką
nadmiar uśmiechu dla ciebie
przeznaczony zleciał z moich warg
prosto ku niej pod wiszącymi
trzema okrągłymi lustrami w których
otaczał nas coraz bardziej zmrok
zapadał a może był
narysowany palcem na granatowej szybie.

3.

Snuli się cienie aniołów kiedy
smakowaliśmy krem nasączony
smakiem spirytusu to
oczywiście powiedziałaś i papierowe twarze
w lustrach trzech okrągłych
przysłuchiwały a ja
że wcale bo smak wiśni odnaleziony
był jak znak zapytania nie mogliśmy
przejsć do następnej a później
jeszcze następnej takiej
Café.

4.

Rod Stewart szeptał ach
na gorzkiej wiśni języka jak
uparta metafora zaczajony
smak napisał wiersz.

Świnoujście, 1 stycznia 2009.

Kazimierz Furman

* * *

Usiadam z wami do ostatniej kolacji
 Zastawiony szwedzki stół
 Na nim biblijne przekąski
 Brak tylko wody i ryby
 Wina
 W dodatku nikt nie lubi
 sera szwajcarskiego
 Śmierdzącego brie
 Rzodkiewki sałaty oliwek
 Maca też bez smaku
 Ale to przecież opłatek
 Ziemniaczana mąka
 którą zajałem jak głupi
 Taki obrządek
 Obrządek taki jak obrzezanie
 Przekłucie ucha
 Nosa
 Wbicie w byka jednej drugiej szpady
 Do krwi
 Taniec z mulecią
 Pastwienie się
 Zachwyt
 Orgazm kilkutyśięcznej publiczności
 Mokre rozporki
 Mokre majtki
 Wszystko mokre

Brak na tej kolacji duszącego dymu
 Wypalonych fajek
 Tabaki na rozkich
 Brak chleba naszego powszedniego
 Fotografa który by to wszystko
 zarejestrował na kliszy
 Policyjnego podsłuchiacza
 czytającego z taśmy

Najety świadek mówi że wszystko
 jest związane na ostatni guzik
 Kolacja trwa
 Niczego nikt nie podejrzewa
 Ładnie przystrojone jesiotry

Palce lizać kawior
 Kasa spłynie jak wodogrzmoty
 Szwajcaria ma ciągle alibi
 Każdy bank wystawi
 rachunek za milczenie
 Nieważne czy to woda sodowa peps
 naprzemienione z wody

Na ucztę

Usiadam z wami do kolacji
 Być może jest to raz przedostatni
 Umykający czas jest chorobą
 Choroba jest matką wspomnień

07. 05. 2009

Irena Zielińska

Dom

Obcy dom
 obca cisza
 obce zamieszkanie

Ja w nim
 pilnuję
 powietrza

Łapię muchy
 rozcieram
 na własnej skórze
 żeby o ton
 wyżej
 za głośno
 nie bzywały

Taka cisza
 rozpajęcza się
 i krzyczy

Taka cisza
 zaciska się
 na gardle bólu

Ja – powietrze

Już prawie nie wychodzę
 z domu
 nie czytam gazet
 nie słucham co belkoczą
 w telewizji

już jestem wielkie nie
 wpatrzone w oczy horyzontu
 własnej wyobraźni

jestem z wyboru
 głucha
 niema
 niewidoma

na zewnątrz
 i od wewnątrz
 nikogo nie obchodzę

mogłabym tak właściwie
 już nie istnieć
 gdyby powietrze
 we mnie nie skamlało

żywe w nadmiarze

Agnieszka Moroz

Automat z iluzją

Sygnały dymne
 z wodnej fajki
 truskawkowe kólecčka
 wysyłam w zmęczoną noc lepkiego miasta
 jest naprawdę dobrze

Modłę się teraz
 do zegarowego boga
 przyjmując komunie
 z zielonych i białych tabletek
 najlepiej kilka razy dziennie
 trzeba być pobożnym

Jest dobrze
 wysyłam tysiące SMS-ów
 doskonalszych niż rozmowa
 ze ścianami
 telewizja nawet odpisuje

Jest dobrze
 odkąd nie trzeba jeść obiadów
 bo nawet owoce stały się kaloryczne
 w biurach automaty z iluzją
 monetę zmieniają w rogalika

A będzie nawet lepiej
 gdy nowa reklama
 zapali w mojej głowie
 jaskrawe słowo

CUDOWNIE

* * *

Nocą
 rozmawiam z lustrem
 Dobranoc
 - szepczą usta zaporowanego odbicia
 Jesteś
 - mówię
 potwierdza nieruchomym
 zamglonym spojrzeniem
 nie odchodzi

Zamykam i otwieram oczy
 Trzepot wypuszczonych spod rzęs myśli
 odbija się od czoła
 warg
 słyhać jak szemrzą naiwne
 dziecinne stwierdzenia
 Ale lustro nie krzyknie
 nie ziewnie
 i nie powie że jestem nienormalna
 jeśli zadzwonię o czwartej nad ranem
 paznokciami o powierzchnię

Zanim pójde spać
 oprawi mnie w ładną drewnianą ramkę
 odwracać będzie twarz poważnie i powoli
 a rano wróci
 zawsze wraca
 mówić w znanym tylko mnie języku

Marek Lobo Wojciechowski

dzień kreta

Ranny
rzut oka na wnętrza:
ramy po portrecie,
ciemniejsze miejsca po meblach;
widok zaciera ślady po.
Wstaje regularnie, z budzikiem
grającym płacz ślepca.

Wygrzebuje z siebie siebie,
potem chowa ukradkiem.
Chodzi po chleb i do miasta.
Bywa w miejscach, pomiędzy.
Jest tyle nowych kobiet
– myśli mimo. Zagłada
do galerii, do oczu. Czasem spotyka się
i mówią o czymś innym, tym samym.

następny, proszę

Dla niego specjalnie zarezerwowane
miejsce. Wszedł w stosowne
ubrania i meble, kobiety. Pasujący
kolor ścian, auta. Wszystko gotowe,
zaplanowane w szczegółach.

Dla niego miasto, knajpki,
blues i stare sentymenty
każące chodzić na cmentarz.
Obok nagrobka dwóch
opartych o łopaty pije piwo,
popluwa w dłoń, czeka.

Beata Patrycja Klary

między pociągami

Jestem niestosownie ubrana
jak na poczekalnię.
Marznę w cienkich pończochach.
Wszystko dla wrażenia.
W końcu zjawiasz się ciepłem.
Po długim niewidzeniu
poznajesz zapach kotki
i że włosy dłuższe.
Smakujesz ciemny Junan,
który piłam wcześniej.
Zaczynamy drgać sobą.
Wspięci na bliskości łagodzimy obrzęki.
Musisz wracać.
Ale jeszcze nie teraz.
Jestem niestosownie ubrana
jak na pożegnanie.

ballada wiejska

Wydeptujesz pokrzywy z ruin,
bo chcesz mnie w środku zakolysać.
Wpisani w klimakterium miejsca,
w historii, których nikt
już nie opowie,
na zmurszałych deskach
odciskamy siebie.
Pocierana skóra nasącza się ciszą.
Ktoś tu wcześniej robił to samo,
tylko wtedy
drzwi zamykano kluczem.
Proponujesz spróbować studni.
Smakuje powitaniem.

Maria Borcz

rozstanie

waruję
jak pies na uwięzi
wypatruję swoich
odtrącenie łzawi
w przytulisku obciach
żeby przetrwać
trzeba zerwać przywiązanie
ale jak?

pneuma*

w nocy
przychodzę do Ciebie
jak Nikodem
nie potrafię wznieść się
ponad codzienność
wiatr wieje tam, gdzie chce,
i szum słyszysz,
lecz nie wiesz, skąd pochodzi
i dokąd podąży (J.3)
niechby powiew
tego tchnienia
ogarnął moje skłonności
obarczone
przyziemnością

**w jęz.gr. pneuma oznacza i wiatr; i
ducha, także Ducha Świętego*

Karol Graczyk

***** (Maleństwo)**

Maleństwo, podejdź do mnie, musisz być kobietą,
skoro rodzi się obok, a ja nią nie jestem
pomóż mi ustalić moją tożsamość własną
względem lampy, suwaka albo psa sąsiadów.

Jesteś tu długo dłużej, niż od czasu, kiedy
rodziła cię moja matka. Na jej pogrzebie
byliśmy jeszcze w wózkach, w piątek po południu,
w białych spodenkach, czapeczkach. Dokąd idziemy?

Zbierać kawalki z kobiet i hektarów ziemi.
Pobudka. Na śniadanie chleb, kubek, tyżeczka
cukru, dwie, soli. Przy drzwiach do kuchni dwa lustra
lambrekin. Jesteśmy krew z krwi, kość z kości, kiedy

stawiam stopę – idziesz, otwieram oczy – patrzysz.
Na razie stój spokojnie albo pisz od nowa.

***** (Życie jest piękne mała)**

Życie jest piękne mała, podejdź, połóż ręce
na prześcieradle delikatnym ruchem, który
odczytuję ze zdjęć. Te pozy nie pokażą
nic poza subtelnością i przestrzenią wokół

więc podejdź mała, powiedz, skąd ta czarna sofa
obok krzesła w typie Ludwika i dywanu
w typie co najwyżej bogatego radiowca,
który wraca ze zmierzchem i nie patrzy na nic,

albo tylko podejdź tu mała, stań i opuść
ręce, spójrz na te przedmioty, podnieś wzrok jeszcze
na chwilę i opowiedz o czymś tak doniosłym,
by poruszyć te meble, żeby wyszły z mody.

Znowu podnieś rękę, połóż na prześcieradło,
popatrz, ile miejsca zostanie obok kadrów.

GORZÓW – INWAZJA POETÓW

Biblioteka Literacka „Pegaza Lubuskiego” rok 2008 zwieńczyła szeregiem poetyckich książek, z których jedna – „Osiemdziesiąt cztery” Karola Graczyka, wydana w połowie ubiegłego roku (i w „Pegazach” już kilkakrotnie omówiona), zdobyła najważniejszą regionalną nagrodę – Lubuski Wawrzyn Literacki. Omówienia i recenzje pozostałych nie weszły do grudniowego numeru naszego czasopisma, bo był on w całości poświęcony literaturze rozrywkowo-satyrycznej. Jednak dały się owe nowe gorzowskie książki zauważyć Kapitulę Wawrzynu. Ciepłą ich ocenę

przekazał w swoim wystąpieniu na wręczeniu nagród wybitny krytyk, przewodniczący jury, Leszek Żuliński.

Przygotowując do druku, jako wydawca, najnowsze gorzowskie tomiki poetyckie, miałam czas rozpoznać to, co w nich dobre i czasami słabsze. Teraz, nadrabiając stracony czas „Pegaza Lubuskiego”, otwieram swój krytyczny notatnik. Obok tomów poetyckich, zapraszam także do zapoznania się z wydanymi niedawno dwiema książkami zawierającymi przede wszystkim wspomnienia: landsberczyków, kresowiaków i gorzowian.

CZAS ROZEBRANY Krystyny Caban

Krystyna Caban nie miała łatwej drogi do literatury. Z wykształcenia jest elektromechanikiem, wydawało się więc, że na poetyckie szczyty jej daleko. Na początku związała się z Robotniczym Stowarzyszeniem Twórców Kultury, a wybiecie się z tego kręgu też nie jest łatwe.

Andrzej K. Waśkiewicz, redaktor pierwszego tomu wierszy Krystyny Caban „Nie gaście ognia” był zaskoczony tym, że w jej wierszach motywy typowe dla tzw. poezji robotniczej są niezmiernie rzadkie. Swoją poetycką uwagę Krystyna Caban zatrzymuje natomiast na fascynacji mężczyzną, miłosnym zauroczeniu, na zdradach i rozstaniach. Czasem pojawia się w jej wierszach perspektywa rodzinna, ale więcej jest odważnych opisów seksualnych. A poezja robotnicza była w tym względzie pruderyjna. Na tej podstawie Andrzej Waśkiewicz sformułował ryzykowną tezę: „Zjawisko, które niegdyś nazywano poezją robotniczą, przestało istnieć”.

Sądzę, że zjawisko istnieje nadal, ale Krystyna Caban z tomu na tom jest coraz bardziej samodzielna artystycznie. Bohaterką liryczną drugiego tomu zatytułowanego „Grzeszna inaczej” jest kobieta współczesna z blokowiska, spragniona zieleni i światła. Naturalna więc staje się jej tęsknota do przestrzeni, klarowności stosunków między ludźmi, wreszcie do miłości jako odskoczni od wszystkiego, co nęka i boli. Tę tematykę i ten sposób wypowiedzi autorka kontynuowała w trzecim tomie swoich wierszy pt. „Zapach zmierzchu”.

W wydanym w grudniu ubiegłego roku czwartym tomie wierszy pod tytułem „Czas rozebrany” Krystyna Caban prezentuje nowe kręgi myśli i uczuć. Ma świadomość upływającego czasu, bo dzieci urosły, na horyzoncie już wnuczeta, a przecież już w pierwszym

wierszu mówi szczerze: *Otwarto mi kolejne drzwi, więc wchodzę. Świat nie kończy się za pierwszymi. Żyję i kocham*”.

Wiersze ułożone są w rozdziały, które określają ich tematykę: Płynąc z czasem, Czas natury, Czas liczenia, Czas na miłość, Czas wiary, Czas przyjaciół.

W pierwszym rozdziale Krystyna Caban kilka bardzo ładnych wierszy poświęca swojej matce, na którą patrzy oczyma kobiety dojrzałej: *Ponad siedemdziesiąt lat zbiera okruchy prawd i tka z nich kobierzec by dać go nam wraz z drogowskazem jak iść przez życie nie spuszczając wzroku*. Ja zapamiętam inny wiersz też z tego rozdziału: o radości na wieść, że zostanie babcią. Bo „Płynąc z czasem” odkrywa się wagę związków rodzinnych, takich z pozoru oczywistych, naturalnych, a zaniedbywanych w latach młodości, gdy najważniejszy jest ten jeden ON lub jedna ONA. A przecież jej „Czas na miłość” – to też tytuł rozdziału – wcale nie minął, bo kobieta zawsze jest kobietą... W tym tomie znajdujemy także dobre wiersze o miłości, podobne do tych, które kiedyś tak zaskoczyły Andrzeja Waśkiewicza. Są wiersze o przyrodzie, tej miejskiej, widzianej z okien wieżowca: *Przyjdź rano wstać, pootwierać ptakom klatki, zawiesić słońce nad katedrą...*

Najważniejszy jednak w tych wierszach jest czas, który daje możliwość spojrzenia z dystansu. W tytułowym wierszu „Czas rozebrany” nawet *czas nie spieszy się, bo wszystkie drzwi ma już otwarte*. Czas – nasz wróg i przyjaciel. Książka jest starannie wydana edytorsko, a urody dodają jej ilustracje Zbigniewa Olchowika z niebieskim zegarem na okładce.



Marek Grewling czyli ANACHORETA W KLASZTORZE MIZANTROPII

Tom wierszy Marka Grewlinga nosi tytuł „Anachoreta w klasztorze mizantropii”. Spróbujmy najpierw wytłumaczyć znaczenie tych słów raczej rzadko używanych: Anachoreta to pustelnik, człowiek spędzający czas na kontemplacji i umartwieniach; samotnik, odludek. Natomiast mizantropia to niechęć do gatunku ludzkiego. Nie jest to uczucie skierowane do poszczególnych jednostek, ale do ogółu z własną osobą włącznie. Najbliższym nam pojęciem jest klasztor – tu słowo użyte w znaczeniu budynek lub kompleks budynków, miejsce zamknięte.

Tytuł książki jest również tytułem poematu otwierającego tom, a składającego się z 13 części. W drugim rozdziale mamy wiersze różne objęte wspólnym tytułem „Bliskie pejzaże”. Książkę kończy pięcioczęściowy poemat „Koncert brandenburski”. I jeszcze kilka słów o autorze. Marek Grewling, gorzowianin, aktualnie oddelegowany do Żar, jest autorem trzech tomów poezji i dwóch książek dla dzieci. Wcześniej wiersze dokumentowały liryczną wrażliwość autora, traktowały o granicach ujawniania emocji, szukały wartości duszy człowieka.

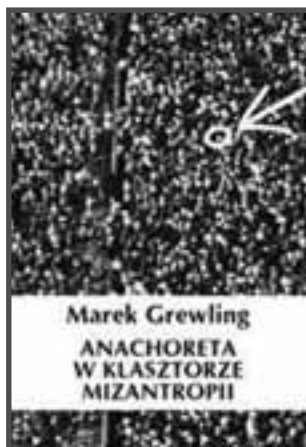
„Anachoreta” ujawnia całkiem odmienne granice widzenia świata i refleksji. *Synowie świata karmieni słowami kazań i reklam karmy dla psów uwierzyli, że życie jest piękne, tym bardziej że kaznodzieja był tak*

wiarygodny a etykiety na puszkach kolorowe. Żyjemy bombardowani słowami i obrazami. Każdy mówca (kaznodzieja lub polityk) wmawia nam szczerść i prawdę swoich słów. Każdy obraz epatuje ostrością kolorów, dynamiczną kompozycją, zaskakuje skojarzeniami. Byle tylko w niego uwierzyć. Byle tylko mu się poddać. I kochać. Wszystkich ludzi, cały świat. Tempo życia, wieczny atak różnorodnych bodźców nie pozostawiają miejsca na refleksję. A może warto choćby na krótko stać się anachoretą, odciąć się od świata, nawet zamknąć się w klasztorze i przyjąć postawę mizantropa, czyli zniechęcić wszystkich i wszystko. Na pewno wówczas więcej dowiemy się o sobie i o świecie. Autor posiada głęboką wiedzę filozoficzną, świadomie powołuje się na doświadczenia teologów, którzy takie odejście od świata preferowali. A przecież poemat o współczesnym anachorecie nie jest traktatem religijnym. W kolejnych częściach poematu bohater liryczny konfrontuje swoją postawę z postawami innych autorów (poeta, kaznodzieja). By skończyć rozważania słowami: *dziurawe drogi zniechęcają do powrotów, więc nie trzeba nimi kroczyć, tylko wzywać. Stanowczo wzywać*.

Kolejne wiersze są opisem przyrody, świata, w którym żyjemy. Dla mnie zaskakująca jest część ostatnia – pod tytułem „Koncert branden-

burski”. Ale nie o muzyce tu mowa, a o urodzie stron rodzinnych autora, czyli okolic Gorzowa, które nie waha się nazwać Brandenburgią. I nie ma w tym polityki. Po prostu jest to akceptacja historii. Tom kończy wiersz, którego duży fragment zacytuję:

*Jesteś moja tak moja jak żadna inna
Do ciebie porównuję wszystkie cuda świata
Ciebie chłonę i tobą się cieszę
Kraino falująca
w collage'ach chromatyki
Kraino moich wędrówek
gdzie śniegi
i kwitnące rzepaki
wytaczają*



horyzont miłości

*I wolność
której wiatr
zapamiętałem*

Tobie zostawiam życie

*Brandenburgio
miłości moja*

Tom wierszy zrodzonych przez obłudę naszego świata mimo wszystko jest tomem pełnym nadziei i miłości do stron rodzinnych. To dużo, myślę, bardzo dużo.

GRUSZKA NA WIERZBIE Renaty Paligi

Jeszcze ciepły tom wierszy Renaty Paligi pt. „Gruszka na wierzbie” na pewno znajdzie wiele czytelników. Jestem przekonana, że większość z nas, pań, lubi być doceniona jako kobieta, choć stwierdzenie: „jesteś tylko kobietą” do komplementów nie należy. Tematycznie wiersze Renaty Paligi mieszczą się właśnie między dumą a tragedią kobiecości. Nie muszę dodawać, że oba stany emocjonalne wiążą się z tym, czy jesteśmy, czy też nie jesteśmy kochane. Zaczniemy od wiersza „Kobiety naznaczone”

*snują się
bezpąskie po parkach i wystawach
kościelnych chórach*

*pod ciemnymi okularami
co dają im niewidzialność
budują od nowa swoją historię*

*kobiety
naznaczone
przez cztery słowa
już ciebie nie kocham*

Jak zbudować tę „nową swoją historię”? Jak, mimo odrzucenia, nadal być kobietą? Takie pytania na pewno stawia sobie wiele pań, bo nie wszystkim od razu dane jest pełne szczęście miłości. Podmiot liryczny wierszy Renaty Paligi (a może sama autorka?) nie rozkłada się, nie rozpacza. Na początku pisze kilka „Listów do niewysłania” (to tytuł rozdziału), w których swój ból jeszcze pielęgnuje, ale świadomie zakłada, że listów tych nie wyśle, a tym samym nie będzie czekać na uczucia tamtego, co przestał kochać. Potem zaczyna dostrzegać świat ją otaczający. W rozdziale o domu mamy więc obraz domu z marzeń, ze wspomnień, ale i domu, który bohaterka sama stwo-

rzy w przyrodzie, z miłością dzieci oraz bliskich. Następnie horyzont się poszerza. Tematem wierszy staje się miasto, tu konkretnie Gorzów z jego katedralnymi aniołami, Wartą, parkami Róż i Kopernika, nawet z ciągle obecną niemieckością. Dobry to rozdział, który może przynieść jeszcze wiele obserwacji zapisanych w wierszach. Zwłaszcza, że poetka lubi spacerować, co dokumentuje w kolejnym rozdziale pt. „Spacerownik”. Tu jednak nie o widoki chodzi, a o przemyślenia. Nie tylko o tam-tym kiedyś kochanym, ale także o kobiecej misji teraz i w przeszłości, o wielu wiecznych prawdach życia. Osobny rozdział dotyczy drzew przyjaciółek, w którym następuje oryginalna identyfikacja podmiotu lirycznego z różnymi gatunkami drzew. Książkę kończy szukanie ukojenia w religii, w modlitwie.

„Gruszka na wierzbie” to tom wyraźnie liryczny, ale nie brakuje tam także wierszy żartobliwych, zgoła uszczypliwych, a zdarza się nawet tzw. brzydkie słowo, zawsze z silną funkcją stylistyczną. Pointą tej historii miłosno-kobiecej może być bardzo osobisty wiersz z tytułem „Renata”, czyli imieniem autorki.



*Narodziłam się od nowa
podobno piękniejsza
narodziłam się
ze smutku
lecz podobno mądrzejsza
niż poprzednio*

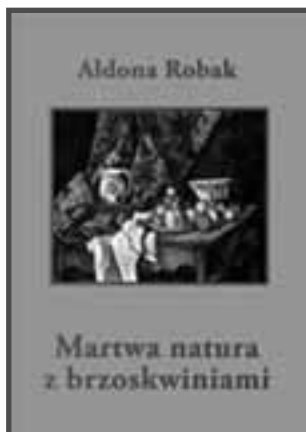
Jestem przekonana, że wszystkie my, kobiety po takim „już cię nie kocham” możemy się narodzić mądrzejsze i piękniejsze.

Dodam jeszcze, że Renata Paliga dopiero co przekroczyła 40 lat, jest lekarką z dwiema specjalizacjami i właśnie kończy doktorat.

Aldona Robak na obrazach mistrzów

Nowy tom wierszy Aldony Robak nosi tytuł „Martwa natura z brzoskwiniami”. W wierszu pod tym samym tytułem autorka przywołuje obraz Cezanne’a „Martwa natura z jabłkiem i brzoskwiniami”. Wiersz jest króciutki. *Popękały skórki na owocach pocięte światem Ułożyłam je na niebieskim półmisku Cezanna Za moim snem.*

Nie trzeba znać obrazu Cezanne’a, aby po przeczytaniu wiersza wyobrazić sobie niebieski półmisek i brzoskwinie w bladym świetle ni to świtu, ni to snu. Sam obraz Cezanne’a przywołany został na okładce książki. Jest znacznie bogatszy w szczegóły, są na nim jakieś draperie, jest dzbanek, znacznie więcej owoców, a tonacja przywołuje raczej zachód słońca niż świt. Skąd ta rozbieżność? Dużo wierszy zawartych w tym



tomie powstało z inspiracji sztuki. Jakie są więc relacje między obrazami a wierszami? Na pewno Aldona Robak wnikliwie ogląda obrazy, ale do swoich wierszy przenosi tylko to, co jest dla niej najważniejsze. Jakiś szczegół, może aurę, nastrój, czasami tylko cień. Bo też malarstwo wierszy Aldony Robak nigdy nie są opisem obrazu. Natomiast dużo mówią o autorce. O jej wrażliwości, o uczuciach, tęsknotach, o świecie jej wyobrażeń.

Na niedawnym spotkaniu z poetką w gorzowskiej bibliotece podczas czytania wierszy inspirowanych malarstwem prezentowane były konkretne obrazy, z których zrodziły się te wiersze. Powstał ładny pokaz multimedialny, ale – moim zdaniem – wcale nie pomógł on wierszom. Obrazy okazały się bogatsze od

wierszy. Natomiast siła wierszy Aldony Robak tkwi właśnie w maksymalnym ograniczeniu obrazu zarysowanego w tekście. Bo nie o widok w nich chodzi, a o percepcję. Stają się one tylko kluczem do wnętrza podmiotu lirycznego, którego bogactwo czytelnik odkrywa z tekstu.

Wiersze Aldony Robak, zarówno zrodzone z malarstwa, ale także wszystkie inne, zaliczyć trzeba do czystej liryki. Podczas spotkania powstał nawet ostry spór o to, czy autorka ma, czy nie ma czegoś do powiedzenia czytelnikom. Bo na pewno w swoich wierszach nie roztrząsa kondycji człowieka, nie zajmuje się przemijaniem czasu, rozlicznymi problemami egzystencjalnymi ani tym bardziej politycznymi. Jej wiersze wyrastają z wyobraźni, z wrażliwości. Z ducha, nie

z rozumu. I albo się ducha jej poezji akceptuje, albo się ten typ poezji w ogóle odrzuca. Po tym poetycko-malarskim seansie kilka osób zdecydowanie nie chciało dyskutować, by jak najdłużej zachować w sobie czar słowa i obrazu.

Tom wierszy Aldony Robak kończy ciepła rekomendacja cenionego poety – Zbigniewa Jerzyny. Pisz on: „Pani Aldono, nie będzie Pani miała łatwego życia artystycznego, bo idzie Pani pod prąd panującym modom. Ale niech Pani uzbroi się w cierpliwość, bo tylko taka droga jest godna uwagi i poświęcenia”.

„Martwa natura z brzoskwiniami” to czwarty tom Aldony Robak. Na pewno najbardziej dojrzały.

U Teresy Wilczyk-Surmacz wielki GŁÓD MIŁOŚCI

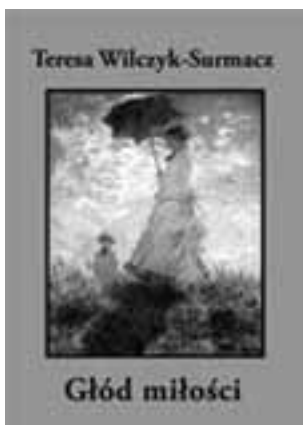
Teresa Wilczyk (wtedy jeszcze z jednym nazwiskiem) pierwszy tom wierszy o tytule „Powroty” wydała w 1985 roku w Bibliotece Literackiej Gorzowskiego Towarzystwa Kultury. Dopiero co skończyła studia psychologiczne, była pełna miłości i radości życia. Czytane po latach wiersze te dobrze się bronią. Jest w nich refleksja i siła, jest swoboda wypowiedzi artystycznej.

A przecież autorka na dość długo znikła z życia literackiego Gorzowa. Dopiero od niedawna pojedyncze jej wiersze ukazywały się na łamach „Pegaza Lubuskiego” lub w antologiach. Przyznaję, że ucieszyłam się, gdy znów zobaczyłam jej nazwisko w druku, teraz już z drugim członem.

I nareszcie jest nowy tom wierszy Teresy Wilczyk-Surmacz. Jego tytuł „Głód miłości”. Znowu o miłości? Tak, ale o całkiem innej niż tamta z pierwszego tomu. Wywodzi się on z wiersza-przeestrogi: *Jeśli nie będziesz jadła, zrobisz się cieniutka jak kreska powietrza. Ale będę ciebie jeszcze rozpoznawać. Jeśli nie będziesz kochać, umrzesz z głodu.*

Tytułowy głód miłości nie rodzi się z braku jej doznawania, lecz jakby na przekór – z niedawania. Umrzesz, jeśli nie dasz miłości, jeśli nie będziesz kochać. Są w tym tomie tradycyjne erotyki, czyli wiersze skierowane do mężczyzny darzonego miłością, ale nie ta damsko-męska miłość jest dla autorki najważniejsza. Jej chodzi przede wszystkim o szeroko pojętą miłość do człowieka, do tego biednego, skrzywdzonego, chorego, zagubionego w trudnym świecie.

Teresa Wilczyk-Surmacz pracuje w gorzowskim Centrum Pomocy Ro-



dzinie i na co dzień styka się z ciemną stroną życia, z ludźmi wyrzuconymi na społeczny margines. Nieczęsto obecnie się zdarza, aby inspiracją dla wierszy była praca, szczególnie w tak trudnym środowisku. Tu bohaterami wielu wierszy są ci, których autorka osobiście poznała, których rozumie, którym współczuje. Są żebraczkę, są współczesne Marie Magdaleny, bohaterką wzruszającej „Ballady o kulach” jest kobieta niepełnosprawna, są też ci, którzy dobrze wiedzą, że nigdy nie będą mieć domu. A przecież właśnie dom jest jakby kwintesencją elementarnych potrzeb każdego człowieka. Tom wierszy Teresy Wilczyk-Surmacz otwiera wiersz „Dom” z wprost idyllicznym początkiem: *Dom to miejsce, w którym jest mnóstwo ciepłych dłoni i słodkich pocałunków.* Natomiast bohaterka jednego z wierszy wyznaje: *Wiem, nigdy nie będę miała domu na tej ziemi. (...) Bezdomna usypiam wtulona*

we własne ramiona. I tylko boli mnie światło mojego serca niepotrzebne. Swoje wiersze Teresa Wilczyk-Surmacz podzieliła na trzy rozdziały: pierwszy to „Dom”, drugi „Bez domu”, a trzeci – „Nadzieja”. Bo nawet w bardzo trudnych życiowych sytuacjach nie można tracić nadziei. Dla jednych jest nią Bóg, ale może też być piastka dziecka, a nawet – choć jakby na ironię – przepiękne imiona dawane przez biedaków swoim dzieciom – Wioletta, Paula, Ariel.

Książka „Głód miłości” została wydana przez Wydawnictwo „Arse-nał” dzięki finansowej pomocy Wydziału Spraw Społecznych Starostwa Powiatowego w Gorzowie. Odczytuję to jako akceptację dla podniesienia problemów, jakimi zajmuje się ten wydział, do rangi sztuki.

Roman Habdas i ŻUCIE SZCZAWIU

Tom wierszy Romana Habdasa nosi tytuł „Żucie szczawiu”. Kto dziś żuje szczaw? Czym jest dla człowieka żucie szczawiu? Jaki smak ma ten żuty szczaw? Takie pytania nasuwały mi się przy pierwszym kontakcie z tą książką. Wiem na pewno. Szczaw ma ostry, kwaśny smak. Ale też jest bardzo zdrowy, szczególnie na wiosnę. Dawniej dzieci lubiły żuć szczaw. Czy dziś także? Pewnie wolą słodkie cukierki.

Obszerny, bo liczący ponad osiemdziesiąt stron tom wierszy dotyczy jednego tematu – wspomnień z dzieciństwa. Roman Habdas ledwo przekroczył 50 lat, a już dla niego to temat główny. Dzieciństwo przypadło mu na lata 60. i 70. Z rodziną mieszkał w małym miasteczku pod Poznaniem, w Mosinie. Tak niedawno, a tamten świat jawi się jak przeszłość sprzed wieków. Tak blisko w kilometrach, a warunki życia jak z filmu o trzecim świecie. Habdas wspomina swoje dzieciństwo wierszami poświęconymi konkretnym miejscom. Ich przykładowe tytuły: Przy rynku, Za domem Wójciaków, Most przy rzeźni, Ulica Tylna. Widzimy i słyszymy tamten świat, jak w wierszu Ulica Kościelna: *po drodze śpiew krajcegi w stolami mistrza Kłosa, za ladą sklepu pan Guzik zapięty na ostatnią dziurkę zadbanego kita, dzieciaki z tornistrami w tę i tamtą stronę, pies woznego Kujawy...* W innych wierszach są smaki i zapachy, nawet smakołyki, jak *oranżada w proszku, dmuchany ryż i andruty*. Specjalny wiersz dostały pisane łącznie „Śleperyby”, bo *Do dzisiaj przedkładam ich smak (...) nad krem solferino*. Potrawa ta nawet zyskała utrwalaony w wierszu przepis jej sporządzania!



Najważniejsi jednak są ludzie: najpierw mama i tata, potem wujkowie i ciocie, wreszcie sąsiedzi, którzy mieli nie mniejszy wpływ na wychowanie chłopaka. I wydarzenia przeżyte najgłębiej: przede wszystkim zabicie kury, dopiero potem śmierć kolegi przy rozbrajaniu jakiegoś niewybuchu. Wchodzenie w dorosłość jest w ujęciu Habdasa akceptacją dla zabijania, nawet jeśli to zabijanie jest banalnym zjedzeniem marchewki. Przejmujący jest jego tryptyk „Lekcja zabijania”, czyli trzy etapy osławiania się ze śmiercią.

Przyszła wreszcie czas, gdy chłopak *odleciał z rynku wszystkich-kowiedzącego* – jak ładnie autor nazwał swoje miejsce na ziemi. I – kontynuując metaforę – *sfrunęł w dziuple osiedla z własnego wyboru*. Świat stał się zwyczajny, codzienny, nudny. Tylko czasami, jak w wierszu „Gorzka czekolada”: *w przytulisku fotela zamysleniem wracam na podwórko kamienicy przy rynku. Wyciągam z kieszeni kawałek kredy, smaruję po szopce Strzeleckich trzy po trzy i podpisuję ZORRO.*

Nieczęsto zastanawiamy się, ile ciągle w każdym z nas jest tego dzieciaka z dzieciństwa, jak długo trwają w nas nauki rodziców, sąsiadów i pierwszych życiowych doświadczeń. Zmieniły się warunki życia, częściej jadamy krem solferino niż śleperyby, a przecież – jak Habdas – każdy z nas pozostaje chłopakiem lub dziewczyną ze swojej Mosiny. I ciągle ma w ustach smak żutego szczawiu. Smak dzieciństwa. Tom wierszy Romana Habdasa wydało Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury w Gorzowie.

GORZÓW W MOJEJ PAMIĘCI

„Gorzów w mojej pamięci” to najpierw tytuł konkursu na pamiętniki a teraz książki, w której pomieszczono jego plon. W ramach obchodów 750-lecia Gorzowa konkurs wymyśliła i ogłosiła Dorota Frątczak, wtedy naczelna „Gorzowskich Wiadomości Samorządowych”. Wkrótce zmieniła pracę i konkurs stał się trochę... bezdomny. Przejęła go Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna, która teraz jest wydawcą książki. Pamiętam, że miałam trudności ze znalezieniem jego regulaminu. Pewnie lepiej było po stronie niemieckiej, bo od dawnych mieszkańców Landsbergu przyszyły zdecydowanie ciekawsze prace. Łączny plon konkursu to 13 prac, z czego 5 autorów niemieckich i 8 polskich. Po lekturze liczącej ponad 300 stron książki mam odczucie, że Niemcy nadesłali wspomnienia przygotowane wcześniej, napisane z myślą o wnukach lub prawnukach. Ich autorzy urodzili się w końcu lat 20. lub na początku lat 30., a tym samym obraz miasta łączy się dla nich z domem rodzinnym i okresem poznawania świata. Uzupełniają je rodzinne zdjęcia i kserokopie dokumentów. Wspomnienia autorów polskich są wyraźnie pisane na zadany temat i zdecydowanie krótsze. Zawierają więcej ogólników, a tym samym słabiej oddają klimat wspominanych lat.

Dwoma równorzędnymi pierwszymi nagrodami uhonorowano Klemensa Neumanna za pracę „Młodzieńcze lata w Landsbergu nad Wartą 1928 – 1945” oraz Zdzisława Morawskiego za fragment „Zapisków codziennych”. Klemens Neumann szczerze i prawdziwie pisze o nastrojach nacjonalistycznych, które zdominowały jego dzieciństwo, o kulcie Hitlera i o jego własnej chęci, aby jak najszybciej stanąć do walki. Był to trudny start i pewnie dlatego autor wrócił do Gorzowa dopiero po 60 latach. Zgłoszony do konkursu fragment „Zapisków codziennych” Zdzisława Morawskiego dotyczy przełomu lat 1991 i 92, gdy nawiązywano nowe kontakty między pisarzami z Gorzowa i Frankfurtu nad Odrą. Już wcześniej był on opublikowany w „Pegazie Lubuskim”, więc odkryciem nie jest, a ponadto tylko pośrednio dotyczy życia miasta. Ale to decyzja komisji konkursowej.



Spośród polskich autorów najbardziej podobała mi się praca Romana Horbatego, który wspomina dzieciństwo spędzone na podwórku czynszówki w centrum Gorzowa, przy ul. Armii Polskiej, a jakby w zaczarowanym świecie. Wszystkich autorów – tak polskich, jak i niemieckich – łączy nieklamana miłość do miasta, do Landsbergu lub Gorzowa, do kawałka świata często zamkniętego w obrębie kwartału lub konkretnej ulicy. Uświadomienie sobie przez autorów takiego stosunku do miasta to wielki sukces najpierw inicjatywy, a teraz książki.

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna jako wydawca dołożyła wielu starań, aby wspomnieniom pisanych przez różnych autorów nadać walor jednorodności, nie niszcząc przy tym indywidualnego języka każdego z nich. Także w tłumaczeniach. Tu warto podkreślić, że obszerne wspomnienia niemieckich autorów tłumaczył Grzegorz Kowalski. Ale mimo

tych pochwał mam do redaktorów książki także pewne uwagi. Wyraźnie brakuje mi przypisów, bo współczesny czytelnik już nie wie, gdzie była „krańcówka tramwaju koło kamienia”. Ani tam dziś kamienia, ani krańcówki. Że kamień ten znajdował się na rogu ulic Pomorskiej i Walczaka i że tam kiedyś była krańcówka tramwaju, wiedzą tylko starsi mieszkańcy miasta. Przypisy pomogłyby młodszym czytelnikom rozszerzyć wiedzę o Gorzowie. Razi mnie brak imion przy nazwiskach wielu wspominanych osób. Dziś imiona te pewnie mogliby przypomnieć autorzy wspomnień, albo zadać sobie trud ich odszukania. Za parę lat będzie to bardzo trudne. Żałuję także, że nie ma choćby krótkich notek biograficznych autorów: od kiedy w Gorzowie, gdzie pracowali, co robią teraz. Ale nawet bez tych dodatków otrzymaliśmy ciekawą książkę, dokument życia w mieście najbliższym nie tylko autorom wspomnień. A dysproporcja (objętościowa i jakościowa) między wspomnieniami Niemców i Polaków niechaj będzie zachętą dla obecnych mieszkańców, aby zapisali swój obraz życia tutaj.

LUBUSZANIE Z KRESÓW WSCHODNICH

Książkę „Lubuszanie z Kresów Wschodnich” wydał Zarząd Krajowy Towarzystwa Miłośników Polesia. Pierwsza jej część to wspomnienia Lubuszan związanych przed laty z Polesiem, z Pińskiem i okolicznymi wsiami. Napisane zostały przez autorów, którzy albo mieszkali tam w dzieciństwie, albo atmosferę tamtych stron wynieśli z rodzinnego domu. Dwie obszerne prace przygotowali Maria Przybylak z Gorzowa i Albert Kulik z Sulęcina. Oboje z rocznika 1929, a więc przeżywający okres wojny jako nastolatki. Oboje już nie żyją. Maria Przybylak wspomina codzienne życie we wsiach pod Pińskiem, w skrajnej nędzy, w wiecznym zagrożeniu ze strony obcych - Niemców, ale także swoich, nawet sąsiadów. Albert Kulik wraz z rodziną został zesłany na Sybir. Tam też skrajna nędza i wieczne zagrożenie. Wierzyć się nie chce, że trzeba było żyć w takich warunkach. Nam, otoczonym nadmiarem różnych niepotrzebnych rzeczy, łącznie z wymyślnymi potrawami, przydają się takie lektury, aby bardziej cenić czasy, w których żyjemy.

Maria Mazurek, Wincenty Zdzitowiecki i Zofia Bilińska, autorzy innych prac, urodzili się na Polesiu, ale znają te strony jedynie ze wspomnień starszego pokolenia. I choć w ich domach też żyło się biednie, rodzice dali im przekonanie, że jest to kraina ich duchowych korzeni. Związek ten dobitnie wyraziła Zofia Bilińska: My, potomkowie Polaków ze Wschodu, nigdy nie wyzbedziemy się sentymentalizmu, uczucia podwójnej osobowości i podwójnego patriotyzmu, bo przecież tam, na Wschodzie, jest nasz rodzinny dom. Zofia Bilińska, ceniona gorzowska rzeźbiarka, wyjechała mając zaledwie roczek, a jednak bardzo wiele Polesia w niej zostało. Także w jej pracach rzeźbiarskich.



Na drugą część książki złożyły się referaty wygłoszone na konferencji o udziale ludności kresowej w gospodarczym i społeczno-politycznym rozwoju Gorzowa i regionu w latach 1945 – 2006. Przyznam, że część ta mnie rozczarowała, jako że autorzy referatów niewiele wnieśli analiz i refleksji do znanego już obrazu życia po wojnie w naszym regionie. Za najciekawszy uważam referat Jerzego Sygneckiego o wysiedleniach ludności polskiej w latach II wojny światowej. Autor pokazał akty prawne i praktykę wysiedlania zarówno przez Niemców jak i przez Rosjan. Do tej części książki włączono wspomnienia Marii Przybylak o początkach jej twórczości literackiej. Ciekawe, ale odbiegające od tematu głównego. Tu też opatrzone wieloma dokumentami wspomnienie Juliana Michalika o oświacie w Koźuchowie w latach 1945-1950. Na zakończenie omówienie działalności gorzowskich oddziałów towarzystw kresowych: miłośników Lwowa, miłośników Wilna i najmłodszego, ale prężnie działającego Towarzystwa Miłośników Polesia. Książkę kończą zestawy zdjęć z Polesia z lat 20. i 30. minionego wieku oraz współczesnych.

Obszerne, bo licząca 300 stron książka pozostawia jednak niedosyt. Zabrakło mi tu przede wszystkim refleksji, ale także wspomnień, o procesie przeistaczania się Kresowian w Lubuszan. A czas na nie najwyższy. Odchodzą ludzie, którzy pamiętają lata pierwsze. Szkoda również, że tym najważniejszym w naszym regionie procesem nie zajmują się młodzi historycy. Na pewno jest tu wiele do odkrycia. Myślę jednak, że nowym odczytaniem tych przemian winny się zająć inne instytucje niż stowarzyszenia kresowe. Natomiast twórcom tej książki dziękuję za podjęcie tematyki.

Maria, Witold i inni kresowiacy

W dniu 12.03.2009 r. o godzinie 17.00 w sali audytorijnej na pierwszym piętrze nowego gmachu WiMBP w Gorzowie Wlkp., miała miejsce prezentacja książki pt.: „**Lubuszanie z kresów wschodnich – wspomnienia i dokonania**”.

W książce tej zamieszczone są obszerne wspomnienia autorstwa **Marii Przybylak**. Nowosiele, Swaryciewice, Konik, Mikołajewo, Pińsk to miejscowości w jakich przyszło późniejszej gorzowskiej autorce żyć. To trasa tułaczki, aż do dnia 22 lipca 1945 roku, kiedy to wyruszyła wraz z rodzicami z Pińska do upragnionej Polski.

Druga publikacja autorstwa Marii Przybylak to „**Opowieść z pierwszej ręki naprędce, czyli jak powstawało Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury w Gorzowie Wielkopolskim**”. Do tych wspomnień dołączone są wiersze Marii: „Gniazdo”, „W Ojczyźnie”, „Prawnikom”, „Przełom” i „O sobie”.



Inni autorzy książki to: Wincenty Zdzitowiecki, Albert Kulik, Maria Mazurek czy Piotr Franków.

Spotkanie zorganizowane przez Zarząd Krajowy Towarzystwa Miłośników Polesia przyciągnęło wielu widzów. Wśród gości byli także autorzy wspomnień zamieszczonych w prezentowanej książce. Spotkanie poprowadził Kazimierz Suproniuk - prezes Towarzystwa Miłośników Polesia. Zebranych w atmosferę poleskich wiosek, kniei i jezior wprowadziła Kapela Retro oraz chór z Klubu „Jedynka”.

Wiersze Marii Przybylak – w hołdzie jej osobie – przedstawili: Czesław Ganda, Beata Patrycja Klary i Roman Habdas. To była dla nas wielka przyjemność, gdyż wiersze Marii Przybylak są wciąż aktualne i zawsze nam bliskie.

Beata Patrycja Klary

Jeszcze o GŁODZIE MIŁOŚCI

Potrzebuję kogoś, kto zrozumie moją chorobę psychiczną, autystyczny świat szklanych kwiatów.

Moja myśl nie przytula istnienia, somnambuliczna egzystencja, efemeryczna woń stworzenia.

Śnię o cudzie, by ktoś zrozumiał moją drogę w stronę obłoków, moja schizofrenia nie odpowiada ludziom XXI wieku.

Chcę wrócić w miejsce poczęcia, aby wszyscy usłyszeli krzyk niemocy.

Oto apel chorej kobiety. Apel, na który mało kto odpowiada. Apel ze świata wirtualnego. Podobnych apeli jest również wiele w realu. Najczęściej przechodzimy obok nich z całkowitą obojętnością. Tylko nieliczni wzruszają się, zastanawiają, w sobie przeżywają. Jeszcze rzadziej taka sytuacja stanowi natchnienie do pisania. Właśnie tak stało się w przypadku twórczości Teresy Wilczyk-Surmacz – pracownicy Powiatowego Centrum Pomocy Rodzinie w Gorzowie Wlkp.

Ona odpowiedziała wierszami na świat ludzi chorych, na apel tych ludzi o zainteresowanie i zrozumienie. Kilka wierszy z jej najnowszego tomu „Głód miłości” (który ukazał się po 24-letniej przerwie od debiutu „Powroty”) dotyczy ludzi poszkodowanych przez los, dotkniętych stygmatami, ubogich. Autorka stara się zrozumieć ten wyjątkowy, niedostępny zdrowym ludziom świat. Schizofrenicy, przydrożne dziady, żebraczkę, prostytutkę, bezdomni – wszyscy oni znajdują u Wilczyk-Surmacz swój dom. Ona w swoisty dla siebie sposób przytula ich, daje im spoczynek. To wiersze, które są o czymś, a przez to mają swoje miejsce, są zakorzenione i mogą się podobać. Oczywiście autorka nie ustrzegła się „śpiworów nadziei”, mnóstwa „aniołów”, „tkliwych wibracji”, czyli poetyzmów użytych dla samego poetyzowania, jednak wymowa wierszy, ich humanitaryzm pokrywają te drobne niedoskonałości warsztatowe. Tom „Głód miłości” tchnie prawdą, prawdą o życiu często ukrywanym, bagatelizowanym, życiu na marginesie. Warto to życie poznać, choćby poprzez transpozycję świata poezji.

Ona odpowiedziała wierszami na świat ludzi chorych, na apel tych ludzi o zainteresowanie i zrozumienie. Kilka wierszy z jej najnowszego tomu „Głód miłości” (który ukazał się po 24-letniej przerwie od debiutu „Powroty”) dotyczy ludzi poszkodowanych przez los, dotkniętych stygmatami, ubogich. Autorka stara się zrozumieć ten wyjątkowy, niedostępny zdrowym ludziom świat. Schizofrenicy, przydrożne dziady, żebraczkę, prostytutkę, bezdomni – wszyscy oni znajdują u Wilczyk-Surmacz swój dom. Ona w swoisty dla siebie sposób przytula ich, daje im spoczynek. To wiersze, które są o czymś, a przez to mają swoje miejsce, są zakorzenione i mogą się podobać. Oczywiście autorka nie ustrzegła się „śpiworów nadziei”, mnóstwa „aniołów”, „tkliwych wibracji”, czyli poetyzmów użytych dla samego poetyzowania, jednak wymowa wierszy, ich humanitaryzm pokrywają te drobne niedoskonałości warsztatowe. Tom „Głód miłości” tchnie prawdą, prawdą o życiu często ukrywanym, bagatelizowanym, życiu na marginesie. Warto to życie poznać, choćby poprzez transpozycję świata poezji.

Beata Patrycja Klary

* Teresa Wilczyk-Surmacz, „Głód miłości”, WAG Arsenal 2008

CZAS do cna ROZEBRANY

Krystyna Caban w swoim nowym tomiku wierszy – „Czas rozebrany” – jak jego tytuł wskazuje, posiłkuje się ideą porządkującą całość przypisaną do tego – jakby nie patrzeć – frapującego leitmotywu, wątku, tematu. I od tej strony książka jej stanowi próbę i ciekawą, i w znacznej mierze intrygującą wyobraźnię odbiorcy. Poszczególne cykle wierszy z jednej strony systematyzują, z drugiej ogniskują pojęcie czasu wokół takich wartości, jak wiara, nadzieja (nazwana c z a s e m l i c z n i a), miłość i przyjaźń. Nie zabrakło też miejsca dla natury i zmierzania się z universum czasu drążącego czysto ludzką stronę tożsamości. Poezja pozwala wszak jej twórcom na czerpanie z niej wiedzy o sobie, która tylko tym sposobem okazuje się tyleż osiągalna co prawdziwa. Nie tylko my czytamy wiersze, one w gruncie rzeczy czytają nas dogłębnie i poza wszelkimi dopuszczalnymi konwencjami. „Żyje się tylko chwilę / a czas - / jest przeźroczystą perłą / wypełnioną oddechem” – pisała w jednym z wierszy Halina Poświatowska. Krystyna Caban za spr-

wą swej liryki snuje opowieść o czasie r o z e b r a n y m i przez tą sprawadzoną do symbolu nagość, wyzbytą tabu i rozlicznych tajemnic, komentuje świat w którym organicznie tkwi i któremu spogląda w twarz. Zmaga i na swój sposób boryka się z fenomenem tego czasu. Przyjmuje go nie zawsze pokornie, ale też nie zawsze zdobywa się na bunt i kontestację. Raczej stara się go na iście kobiecą modłę udomowić, obłaskawić, nie bez ufności akceptować, jednak się z nim w siostrzanej przyjaźni. I to organiczne oswojenie, bardziej może czasu osvajanie, w konsekwencji wcale nie okazuje się łatwe i bezbolesne. Rzucającymi się w oczy atutami tak pojętego sposobu pisania pozostają prostota i towarzysząca jej szczerość poetyckiego wyznania. Autorka tych wierszy odważnie nawiązujących do jej życiowych, często traumatycznych doświadczeń, niczym na szali waży i bilansuje zyski i straty, weryfikuje ich zmienne koleje, i jakby autoterapeutycznie umacnia się w wierności sobie samej. W dokonywanych co rusz małych i więk-

szych rachunkach sumienia bywa do bólu otwarta, zdarza się, że okrutnie bezlitosna nie oszczędzając swego intymnego Ja. Nie wstydi się przyznać do pomyłek i błędów, nie oczekuje też nadmiaru łaski płynącego z konfesyjonałów wszelkiego rozgrzeszenia. Nie ma w tych wierszach intelektualnych dyskursów, jakie wiedli Settembrini i Naphta w epokowej „Czarodziejskiej górze” Tomasza Manna, nie ma zadęcia na poszukiwanie oryginalności i odkrywczości za wszelką (czytaj: każdą możliwą) cenę, jest za to niepodważalny ładunek prawdy i budzącej szacunek potrzeby zwierzenia. Świat poetki w rzeczy samej nie jest ani prostoduszny, ani tym bardziej prostolinijny. Jest zwykły, szorstki, pociemniały od troski rozczarowań, ale bynajmniej nie biało-czarny i do końca jednoznaczny. Codziennosc jawi się tu areną zmagania z własnymi rozterkami i balastem pragnień, godzenia na nieuniknione, stawiania czoła nieuchronnemu, odzyskiwania utraconego, stawiania na gotowość jeśli nie wybaczenia to zrozumienia choćby, w imię empatycznej solidarności serc i dusz. Drzewa nie zawsze się tu zielenią, noc niekoniecznie wygładza znużenie dniem, a miłość nie pretenduje do sielanki ludzkiej typowym *dolce vitae*.

Pustka, gorycz niespełnienia i dojmujące poczucie samotności nie zdominują jednak tego, co unosi wartki strumień istnienia. Heroicznie i z uporem, z ulotnych cząstek wiary, z pokonywania własnych ułomności i czerpania z odwiecznego *carpe diem* buduje poetka swój własny, bezpieczny azyl. Z niego czerpie radość, w nim upatruje odradzające się nieustannie bujność życia i witalność trwania. W nieprzejednanym dążeniu do ładu i harmonii, mających zapanować na gościach przyziemnego, na własny użytek budowanego mikrokosmosu. Bo tam właśnie każdy odruch wzruszenia, każda ukryta w wierszu łza przywracają wewnętrzny spokój i sens, temu co przepływa z czasem i w czasie, a także mimo mijającego czasu. Jeśli uważnie zajrzeć do wcześniejszych książek poetyckich Krystyny Caban, można by przykleić im etykietę poezji moralnego niepokoju. Ale może się to okazać niezbyt adekwatne i mało precyzyjne. To raczej liryka skupiona na czuwaniu. Czuwająca nad tymi uwięzionymi w okowach odrzucenia, braku wzajemności, obojętności i udręczenia odium „zrezygnowanych i wykluczonych”. Kadry z prze-

mykającym w nich znużeniem twarzy, zranionym uczuciem, wygaszaną przez apatię resztką nadziei. Swoiste *theatrum cieni* wołające o przebłysk, pojedynczy odbłask słońca. Gdyby miarę jakości poezji miała odwzorowywać obecność w niej miłości, autorka „Czasu rozebranego” nie ma powodów do skrupułów. Jej erotyki i liryka miłosna okazują się godne uwagi już choćby za sprawą bezpruderyjnej naturalności, w jaki je zapisuje, przeżywa i kontempluje. Eros pojawia się w każdym praktycznie cyklu wierszy, a ich zmysłowość każe nie raz, nie dwa zadumać się nad casusem kobiecości w równym stopniu dojrzałej, co nigdy nienasyconej. Krystyna Caban przynależy do poetek o wyjątkowo ugruntowanym rzemiośle i jeśli czegoś może komuś w jej „Czasie...” nie dostawać, to językowych błysków i fajerwerków, bardziej misternego obrazowania i zaskakiwania Czytelnika czymś zgoła nieprzewidywalnym w pointowaniu frazy, swoistego kuszenia wieloznacznością znaczeń i przesłań wierszy. Ta precyzyjna, niemal koronkowa kaligrafia najwyraźniej przecież uwydatniła wiele walorów poprzedzającego omawiany tom „Zapachu zmierzchu”. Ale ten, czasem topornie kolokwialny, dyskursywny język wierszy „Czasu...” jest też rodzajem konieczności, jakby odgórnie podporządkowanej materii rzeczywistości, którą próbuje wyrazić. Dosłowność skojarzeń i podręcznej w słowie rekwizytorni, wyzwalające werystyczny klimat mający ugruntować Czytelnika w prawdzie poetyckiego komunikatu, nie zawsze, jak się okazuje, pozostaje zabiegiem trafionym i do końca przekonującym. Zdarza się, że budzi niedosyt, wszak gdzieś na pobocza spycha, a i obraca w niwecz, bo – jak chciał Jan Kochanowski – „Fraszki to wszystko, cokolwiek myślemy”.

Warto czytać te wiersze. Bo mimo, że czas zegarów i kalendarzy wciąż igra z wiecznością, tylko w poezji – jak przepowiada gorzowska poetka – trafić się może kalendarium, „w którym jest dwanaście majowych miesięcy”.

Jeśli nawet kto wątpi, niewykluczone, że kiedyś uwierzy.

Kazimierz Rink

* Krystyna Caban, „Czas rozebrany”, WAG Arsenal 2008

Małgorzata Dobrowolska W NIEMOCY KOBIET

W MOCY OBIETNICY

Zdarzyło się komuś nie bez kozery zauważyć, że debiuty i debutanci po trosze asekuracyjnie, po części irracjonalnie lewitują w stronę godnego najwyższego zaufania patronatu. Czasem bywa to uznana instytucja, czasem wiekopomna postać, bywa, że zjawisko czy oblegany powszechnie top-trend.

Paradoksalnie, debiutanckiej książce Małgorzaty Dobrowolskiej „W niemocy kobiet” patroluje magiczna cyfra d w a n a ś c i e. Może to i przypadek, może z premedytacją skalkulowany zamysł – niczym u Marcina Świetlickiego – a fakt i tak pozostaje faktem. Po serii dwunastu wierszy autorka wprowadza Czytelnika w świat także dwunastu opowiadań, których związek z liryczną materią wierszy jedni uznają za umiarkowanie luźny, inni za epickie rozwinięcie, komentarz, pogłębione studium tego, czego nie ogarnia skondensowana natura poetyckiego żywiołu. Zabieg tyleż ryzykowny, co intrygujący, prosty, a zarazem zaskakujący, próbujący skonfrontować dwie odmienne opcje autorskiej wrażliwości.

Trzeba od razu powiedzieć, że młodej dziennikarce z Gorzowa udało się rzecz trudna raczej do przecenienia; sprowokowanie odbiorcy do samookreślenia się wobec alternatyw, dylematów i rozterek składających się na postrzeganie fenomenu kobiecości w jego młodzieńczo-kobiecy ucieleśnieniu. Rzeczone samookreślenie dokonuje się zarówno w planie emocjonalnym, jak i myślowym,



duchowym, niewolnym od filozoficznych zaangażowań. Samookreślenie jako takie to niekoniecznie zadeklarowana już afirmacja, ale nawet w negacji – poszukiwanie pierwiastków na swój sposób czynnie uzasadniających sprzecz.

W lakonicznym posłowniu do tomiku Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk konstatuje; *Nie jest to pisanie feministyczne. Żadnych manifestów. Buńczucznych okrzyków. Hardych haseł. Samo życie. Bolesnie przytwardzone do rzeczywistości...*

Tak sformułowany osąd aż prosi się o fragment polemicznego aneksu. Bo feminizm Małgorzaty Dobrowolskiej ma charakter wręcz programowy, bezkompromisowy, kontestujący aż do granic niedwuznacznych przerysowań. Ale zarazem – *nolens volens* – staje się motorycznym, inspirującym napędowym *spiritus movens* jej tworzenia.

Wiersze Dobrowolskiej nie stronią od fascynacji poetyką widoczną szczególnie w juveniliach Andrzeja Bursy, a i do zauważenia w schyłkowym Wojaczku. Bywają obrazoburcze, drapieżne, obcesowe, beceremonialnie szargające akademickie konwenanse i kanony zastrzeżonej powagi *sacrum*. Widać w nich całą gorycz determinacji przenikającej istotę kobiecych uprzedmiotowień i spychania na pobocza kodeksów gwarantowanych jakoby równouprawnień. Pozornych w gruncie rzeczy i niespecjalnie reformowalnych. Opozycja odwiecznie ścierających się w bitewnych potyczkach Biegunów: krainy kobiecości i mitologicznej machouzurpatorskiej,

męskiej niefrasobliwości - ma tu swój wyraziście zarysowany punkt odniesienia. Dobrowolska wpisuje go w kontekst odwiecznych wartości, dziś podlegających kulturowej i obyczajowej degradacji.

Uzasadnianej zazwyczaj nadmiarem liberalizmu tam, gdzie idzie o pryncypia zdolne obronić dobre imię resztek naszego człowieczeństwa. Owa tytułowa „niemoc kobiet” podana zostaje w lirycznej obróbce radykalnej weryfikacji. Cel wszelako tylko wtedy uświęca środki, gdy nie narusza samej idei, sankcjonującej istnienie stanu wyższej konieczności, a ten - wg autorki książki - zasługuje nawet na ryzyko idealistycznej koncepcji kobiecej omnipotencyjności. Może właśnie dlatego samo optimum emancypacji tak głęboko draży materię tych wierszy i nieustannie „dolewa oliwy” do ognia kreowanych na tym gruncie hipotez. Ale też dlatego pewnie zaczyna po części budzić opór i obrastać w tkankę wątpliwości. Tym bardziej, że język mający uwiarygodnić tej rodzaj „dykcji nowej” czy natchnionej dedukcji wydaje się momentami nazbyt transparentny, jednoznaczny, podejrzenie uproszczony w ostentacyjnym natłoku nazbyt oczywistych fraz i pojęć. Bo i zmierzający radykalnie w stronę plakatu prawie mantry.

Od publicystycznie rezonujących pohukiwań w rodzaju;

Odpuszczają ci się twoje grzechy

Bo nie wiedziałaś że:

Żydzi są niewinni

Niemcy też mają sumienie

A Polacy walczą do ostatniej kropli krwi

Nawet gdy jest beznadziejnie

Chwytają za broń

By nie zabrano ich jedynej najjaśniejszej matki

o wiele bardziej przemawiają do zwolenników twórczości Dobrowolskiej wiersze wpisujące się w nurt intymnej prywatności, gdzie sama poetka odważa się wystąpić w roli podmiotu lirycznego (choćby „Pory roku” czy wiersz zamykający cykl), od którego zazwyczaj - nie wiedzieć czemu - najczęściej się dystansuje;

Jesienią

Patrzyłeś z opadających liści

Zimą

Zza płatków śniegu

Wiosną

Postanowiłeś mnie pokochać

I stało się

wszak jak pisze w którymś ze swych wierszy Tadeusz Różewicz:

... czerwień / powinno opisywać się / szarością słońce deszczem / maki w listopadzie / usta nocą / najplastyczniejszym / opisem chleba / jest opis głodu. Bo mimo wszystko poezja autorki „W niemocy kobiet” wydaje się o wiele bardziej kreowana i spisana z natury, niż dyktowana kontekstem czystej i klasycznej autopsji. Choć wcale jej to nie deprecjonuje i bynajmniej nie podcina skrzydeł. Raczej tworzy bonus, który ją wzmocni i znobilituje, jeśli tylko w porę zostanie sensownie zdyskontowany. Wystarczy go zauważyć.

Czy w cyklu dwunastu miniprozatorskich etiud Dobrowolska smakująca uroki epickich zapamiętań potrafi zdominować tę ze swoich poetyckich wcieleń? To już kwestia indywidualnych nastawień i gustów amatorów ich lektury. Jedno nie ulega wątpliwości - te małe prozy odznaczające się przemyślaną, misterną konstrukcją mają swoje przejrzyste przesłania. A i precyzyjny, tchnący reporterską sprawnością warsztat stawiający na swoistą wynalazczość osnowy i detali fabularnych. Trudno im także odmówić oryginalności w ujęciu wątków i ich przetwarzania, jak choćby w opowiadaniu „Nóż”.

Co rusz pojawiają się inne, różnicujące całość techniki narracyjne; opowiadka filozoficzna, alegoryczna przypowieść, moralitet, apokryficzna quasiballada, pastisz, relacja bezpośrednia.

Paroksyzmy i newralgie tak wyraźnie zakorzenione w poetyckich peregrinacjach debutantki w prozie miewają wydzźwięk o wiele bardziej stonowany. Kameralny i zdecydowanie wyciszony. Jakby zasymilowany z całkiem pokaznym sztafżem formalnych i tematycznych wtajemniczeń. I co uderzające; o wiele więcej w tej palecie światłocieni, niuansów, odbłasków, nawet pastelowych przebarwień. Feministyczne tendencje tak wszechobecne w liryce porbrzmiewają dyskursem refleksyjnie wyważonym, powściągliwym, wpisanym w ciąg dramatów „niemocy” każdego z indywidualnych bohaterów.

Młodzieńczy idealizm i moralna wrażliwość Dobrowolskiej każą się tym razem pochylić nad galerią postaci dotkniętych stygmatem losowego outsiderstwa. W kadrach tych aż roi się od przypadków istnień skrzywdzonych, odrzuconych, wykluczonych, nienadających się za cywilizacją sukcesu i modelowo skrojonego konsumpcjonizmu. Przekleństwem postaci zaludniających wzgardzone panopticum staje się ich „samoswość”, odmienność, nieumiejętność adaptacji w rzeczywistości imitującej pozory normalności. Okazuje się, że typowi bohaterowie literaccy, biblijni i ci stworzeni na użytek kultury masowej mają całkiem konkretne odniesienia w rzeczywistości, jaką funduje nam pierwsza z dekad nowego stulecia. Myśli Spinozy i teorie Fromma nie zawsze funkcjonują tak jak wyartykułowali w traktatach ich twórcy. Współczesne Marie Magdaleny, Urszule i Anki (jak córka W. Broniewskiego, otrząśnięta z zakurzonej legendy) cierpią, walczą o swoje i zmagają się z innym pewnie wymiarem egzystencjalnego dramatu, choć jak tamte - doświadczają identycznych dylematów i rozterek. I nieustannie też przychodzi im dokonywać karkołomnych wyborów („Uczyniwszy na wieki wybór, w każdej chwili wybierać muszę”), choć te fundamentalne podjęto bez ich przyzwolenia.

Autorka „W niemocy...” z powodzeniem w skondensowanej często do minimum formie potrafi zawrzeć maksimum tego, co rozsada od wewnątrz mikrokosmos naszych wciąż skrywanych pragnień, tęsknot i marzeń, jakże mimowolnie - co sama akcentuje - sprowadzanych do roli okaleczonych substytutów.

Jest w całym tym pisaniu szczególnie rodzaj napięcia, ekspresji i krzyku niezgody na odruch biernego przyjmowania życiowych wyroków i pisanych nam przeznaczeń. Jest dojmujący bunt i próba ocalenia wartości skazywanych - nie wiedzieć czemu - na nieodwołalne unicestwienie.

Niemoc kobiet, niemoc naznaczonych neurasteniczną nadwrażliwością, bywa, że do niebezpiecznych granic naiwności („Być jak oni”) w gruncie rzeczy odwzorowuje się w nieustannym dążeniu i czynieniu miłości. Kreśleniu miłosnych znaków na przekoń wszystkim i wszystkiemu jak w głośnym „Hymnie...” Św. Pawła. Ostracyzm i imperatyw organicznego protestu wobec jej, tej miłości braku - to ledwie wierzchołek lodowej góry Prawdy obłaskawianej koniecznością poszukiwania. Nieodrodnej siły wątplenia pośród „trwania radosnych pozorów pochodu”. I to bodaj największy, jeśli nie naczelną atut tego nietuzinkowego, pisarskiego debiutu. Wychodzi na to, że Dobrowolska zasygnalizowała, a i zarazem naszkicowała jakby mapę swoich przyszłych dociekań i nie tylko literackich penetracji.

Wyznażyła azymut i tropy, którymi - już niebawem może - pądzą w kierunku artystycznej dojrzałości. Bo cokolwiek nie powiedzieć by o niedoskonałościach i słabszych stronach pierwszej dopiero, w najlepszej wierze popołnionej książki (ta reguła już tak ma!), nie sposób jej nie zauważyć. A i samych blasków w niej grubo więcej niż cieni. To przecież tak naprawdę głos - jakby nie patrzeć - na tyle nieprzylegający do chóralnych zaśpiewów i wtórowań w pisaniu o przysłowiowym wszystkim i niczym, że broni się samostannie i niezależnie. A to może oznaczać, że ciąg dalszy jeśli nastąpi - załśni niejednym jeszcze diamentem obietnicy. Szczęśliwie spełnionej tym razem do końca. Noblesse oblige...

Kazimierz Rink

* Małgorzata Dobrowolska, „W niemocy kobiet”, WAG Arsenal 2008

Próba głosu

Debiutancki tomik Małgorzaty Dobrowolskiej przeczytałem z zacięciem, jakiego doznaję zwykle czytając, wydane drukiem, kolejne spojrzenie na rzeczywistość. Druk (jeszcze) w jakimś stopniu nobilituje, oddzielając wyraźną kreską to, co do szuflady, od tego, co na pokaz publiczny. Treść książeczki wypełnia dwanaście wierszy i tyleż opowiadań, typowych „short stories”. Niecodzienne zestawienie – regułą bowiem jest, że dana pozycja stanowi spójność gatunkową: liryka lub proza. To jednak wybór Autorki, z takim a nie innym należy się pogodzić, przyjmując konia takiego jaki jest i nie zastanawiając się zbytnio, czy to pomieszanie gatunków jest wynikiem celowego zabiegu, czy może niedostatku utworów danej dziedziny. Mniejsza z tym, czas na poważniejsze uwagi. Zaczniemy od wierszy: wyraźnie widać, że to pierwsze wprawki, pierwsze próby zmagania z materią. Tematyka tekstów różna: od quasiobrazoburczych i prowokacyjnych ocen kościoła i wiary (Przykazania), poprzez, nieomal, sagi o kobietach (wiersz bez tytułu – ***), po próby opisu małych rzeczywistości, jakie odczytujemy w tekstach: „Co za świat cisy”, „Prostytutka” czy „Czerolistna”. W zasadzie wszystkie teksty łączy jedno: pewne, niezamierzone chyba, przeslizgiwanie się po temacie, widoczna płytkość spostrzeżeń, wynikająca, jak się wydaje, z pośpiechu chyba, jakby Autorka pisała tę lirykę w biegu, z zadyszka nieomal, muskając zaledwie sedno. Znamienne jest, że na dwanaście utworów znajdujemy w zbioru tylko dwa w jakimś sensie osobiste – są to wiersze „Pory roku” i (znów bez tytułu) tekst zaczynający się słowami: „Paleta sztalugi pędzel” i – są to najsłabsze wiersze w tomiku. Tam bowiem, gdzie Małgorzata może ukryć swój, nieuksztaltowany jeszcze, warsztat i (jak już wspomniałem) pewną płytkość spostrzeżeń za wagą tematu (Kościół, obyczajowość, śmierć) – da się te teksty czytać z umiarkowanym zainteresowaniem przynajmniej do puenty, która w każdym z nich budzi, niestety, pewne rozczarowanie. Ale w dwóch wymienionych od początku do końca wypełniają mielizny skojarzeń i brak umiejętności przekazywania osobistych emocji. Aby nie być gołosłownym, pozwolę sobie przytoczyć całość jednego z tych „osobistych” wierszy. Niech będzie „Pory roku”: *Latem / Łaziłeś za mną / Jak słońce za kłosami / Jesienią / Patrzyłeś z opadających liści / Zimą / Zza płatków śniegu / Wiosną / Postanowiłeś mnie pokochać / I stało się*. Pomijam zapis - wielkie litery na początkach

wersów czy nadmierną (nawet przy takiej miniaturce) skłonność do cięcia tychże na drobne (duże litery „załatwił” chyba Word, a „enteromania” jest chorobą niegroźną i wyleczalną) – treść wierszyka dość miła jest i przewidywalna, tchnąca infantylizmem i naiwnością bohaterki lirycznej, „sztambuchowa”, puenta zaś wywołuje jedynie pobłażliwe westchnienie nad oczywistością zabiegów formalnych i treścią tekstu.

Przejdźmy zatem do prozy. Dwanaście opowiadań, jak dwanaście wierszy. Jak dwanaście reportaży. Celowo to piszę, bowiem, chcąc nie chcąc, tak odczytuję te wprawki prozatorskie. Autorka jest dziennikarką i może właśnie rutyna wykonywanego fachu każe jej stosować taką a nie inną narrację – pospieszną, budowaną zdaniami krótkimi, pełnymi czasem niedopowiedzeń, jak te pochodzące z tekstu „Nóż”: *Mała chata gdzieś pod lasem. Stara, drewniana, z klimatem. Wydawałoby się, że stabilna, albo z „Dziecięcego kosmosu”: Nastala noc. W seledynowych pokojach śpi mali pacjenci. Poważnie chorzy. W ich małych rączkach tkwią wenflony. Niektórych podtrzymuje przy życiu tylko specjalistyczna aparatura*.

Tyle że opowiadania rządzą się innymi prawami niż reportaże, gdzie życia rwanej narracji dodają wtręty typu: „Miroslawa G.” czy: „przy ulicy Wiązowej”. Tutaj, gdzie życie i konkrety nie podpierają wątku, trzeba jednak włożyć trochę więcej wysiłku, aby spowodować, by postaci zaczęły żyć i by przestały być papierowe. A takie (tj. „papierowość” postaci i narracji) odnoszę wrażenie podczas czytania kolejnych propozycji prozatorskich Małgorzaty.

Cóż pozostało? Ano, stwierdzenie, że mimo tych powyższych, dość krytycznych uwag dotyczących poszczególnych tekstów, tomik Dobrowolskiej jest i tak jednym z zupełnie niezłych debiutów poetycko-prozatorskich na lubuskim rynku wydawniczym, zdarzało mi się bowiem czytać znacznie gorsze debiuty, ba, znacznie gorsze „któreś z kolei” książki wydawane w ostatnim czasie. Z pewnością to nie ostatnie słowo Małgorzaty – oby kolejne wydania poprzedzone zostały solidniejszym przygotowaniem warsztatowym i, co najważniejsze, próbami głębszego wnikięcia w opisywane zjawiska.

Marek Lobo Wojciechowski

* Małgorzata Dobrowolska, „W niemocy kobiet”, WAG Arsenal 2008

Herbert wyśpiewany

W związku z mijającym Rokiem Herbertowskim Teatr im. Juliusza Osterwy w Gorzowie Wielkopolskim postanowił wydać (przy współudziale miasta) płytę z recytacjami i piosenkami do tekstów Zbigniewa Herberta, chcąc jednocześnie przypomnieć Herberta jako dyrektora literackiego teatru, którym był w latach 1965/66, o czym wielu gorzowian nawet nie ma pojęcia. Pisząc recenzję płyty nie będę oczywiście recenzował tekstów mistrza, bo ani nie mam takiej odwagi, ani nie widzę potrzeby, chodzi przecież o ich wykonanie. Aby zamknąć temat samych tekstów pozostaje mi jedynie powiedzieć, że nie tylko wybór, ale też kolejność recytacji i piosenek jest bardzo trafiona. Wiersze Herberta recytują zarówno aktorzy gorzowskiego teatru, jak i znani w Polsce aktorzy. Z pierwszej grupy wyróżnić trzeba Michała Anioła, Teresę Lisowską-Gałę, Cezarego Żołyńskiego, Marzenę Wieczorek (tak tak, zwyciężczyni II polskiej edycji Big Brothera ani na chwilę nie odeszła z teatru), Beatę Chorążykiewicz oraz Jana Mierzyńskiego. Z aktorów znanych nam wszystkim wystarczy wspomnieć Zbigniewa Zapasiewicza,

Annę Seniuk czy Krzysztofa Kolbergera. Największe wrażenie wywierają teksty recytowane przez Zapasiewicza. Jego głęboki, skupiający uwagę głos, nie pozwala robić niczego innego, jak tylko słuchać. Nieco słabiej, na pierwszy rzut oka, wypada Anna Seniuk, ale wystarczy zwrócić uwagę na inność tekstów, które przypadły aktorce, by to od razu zrozumieć. Tekstom Zbigniewa Herberta towarzyszy bardzo dobra i nastrojowa muzyka Janusza Strobła, Mariana Szałkowskiego, Stanisława Radwana oraz Adama Bałdycha. Tylko raz wcześniej słyszałem lepsze recytacje tekstów, ale Josifa Brodskiego, zwłaszcza, że sam deklamuje swoje teksty, nikt nie jest, zdaje się, w stanie przebić. Może, gdybyśmy znaleźli na płycie chociaż jeden tekst, który zaprezentowałby sam autor. Nie będę jednak grymasił po przesłuchaniu tak dobrego wydawnictwa. Poboczną zaletą płyty jest świetny, udzielający się słuchaczowi klimat, który piszącym, z pewnością, pozwoli napisać pod wpływem płyty niejeden dobry tekst.

Karol Graczyk



Lubuskie Wawrzyny 2008. Graczyk laureatem!

26 lutego w Sali Dębowej zielonogórskiej księgarni wręczono Lubuskie Wawrzyny. Honory gospodini czyniła Maria Wasik, dyrektor WiMBP. Na uroczystości nie zabrakło przedstawicieli lokalnych władz i bywalców, dla których coroczne rozdanie nagród za najlepszą książkę literacką i naukową stało się pewnie jednym z punktów kulturalnego kalendarza. Po raz piętnasty przyznano Wawrzyn Literacki, zaś Naukowy po raz czwarty. Przez kolejne lata formuła konkursu ulegała zmianie, podobnie jak nagroda – i nie chodzi tu tylko o uhonorowanie finansowe, ale i sam „wawrzyn”, który ewoluował od symbolicznego broszkopodobnego złotego listka, ku formie bardziej okazałej, jaką jest kryształowa statuetka ze splecionymi srebrnymi liśćmi. To nie koniec zmian, w tym roku bowiem skład obu kapituł Lubuskich Wawrzynów uległ zmianie.

Jury literackiemu przewodniczył krytyk i poeta Leszek Żuliński z Warszawy, a w jego skład weszli także: prof. dr hab. Piotr Michałowski ze Szczecina i Andrzej K. Waśkiewicz z Gdańska. Brano pod uwagę ponad 20 pozycji książkowych. Wyłoniono dwoje laureatów. Przedstawiając wyniki konkursu, przewodniczący podkreślał, że nie sposób tych publikacji porównać i zdecydować, która lepsza, sprawniejsza stylistycznie. Obie prezentują odrębne wrażliwości oraz nie dające się zestawić wartości. Jako pierwszy nagrodę odebrał gorzowski poeta **Karol Graczyk za tomik poetycki *Osiemdziesiąt cztery***, który ukazał się w gorzowskim Wydawnictwie Artystyczno-Graficznym „Arsenał”. Sylwetkę młodego literata, redaktora portalu internetowego PKPzin, nagradzanego już w literackich konkursach przedstawiła Lidia Kurzawowa, a wiersze z najnowszej książki zaprezentował Janusz Młyński. Kilka pytań autorowi zadał Czesław Markiewicz. Ex aequo laureatką nagrody została dziennikarka z Zielonej Góry (niestety już na emeryturze) **Eugenia Pawłowska, znana pod pseudonimem Snobka**, za zbiór felietonów publikowanych w „Gazecie Lubuskiej” zebranych i opracowanych przez Eugeniusza Kurzawę a wydanych pt. *I ja tam byłam...* nakładem Wydawnictwa „Kropka”. Fragmenty felietonów Eugenii Pawłowskiej przeczytała Lidia Kurzawowa.

Dyplomem honorowym wyróżniono krakow-



Karol Graczyk



Eugenia Pawłowska

pieniu obecny na imprezie przewodniczący Jury, wskazując na wyjątkowo wysoki poziom nadesłanych książek, w tym kilku interesujących debiutów. Zauważył przy tym niezwykle cenną rolę w tej rzeczy miejscowych wydawnictw „Kropka”, „Pro Libris” i gorzowskiego WAG „Arsenał”.

Kapitułę Lubuskiego Wawrzynu Naukowego przewodniczył prof. dr hab. Czesław Osękowski. W jury ponadto zasiadli: prof. dr hab. Dariusz Dolański, dr Tadeusz Dzwonkowski, dr Przemysław Bartkowiak oraz Edward Mincer i Juliusz Sikorski. Na konkurs wpłynęło 18 publikacji. Za najlepszą książkę naukową o tematyce regionalnej uznano pracę doktorską **Radosława**

Skryckiego ze Szczecina pt. *Dzieje kartografii w Nowej Marchii do końca XVIII wieku*, która ukazała się drukiem w warszawskim wydawnictwie DiG. Nowatorska publikacja zawiera liczne reprodukcje map, a przy tym w rzetelny metodologicznie sposób porusza temat do tej pory rzadko podejmowany w polskiej historiografii. Jury wyróżniło nominacjami do Lubuskiego Wawrzynu Naukowego dwie, istotne dla popularyzowania wiedzy o regionie książki: **Zbigniewa Czarnucha z Witnicy pt. *Ujarzmianie rzeki. Człowiek i woda w rejonie ujścia Warty i Leona Okońskiego - Sulechów 1945–2005. Przemiany gospodarczo-społeczne***. Po wręczeniu Lubuskich Wawrzynów na scenie zagościł Kwartet Filharmonii Zielonogórskiej. W koncercie znalazły się utwory m.in. Bacha i Mozarta.

Wg relacji z wręczenia Lubuskich Wawrzynów **Joanny Wawryk** na www.wimbp.zgora.pl. Skróty i uzupełnienia **I. K. Szmidt**



Zbigniew Czarnuch

skie Wydawnictwo LIST za atrakcyjną edytorsko książkę księdza-poety z Drezdenka **Jerzego Hajdugi pt. *Rozerwanie nieba***. Jury postanowiło nie przyznawać nominacji. Zbyt dużo musiano by ich przyznać, jak podkreślił w swoim wystą-

„Pasja działalności społecznej dodaje radości życia” - 100 lat urodzin Wiktora Czyżewskiego

Otwarcie wystawy w ramach Gorzowskiego Przeglądu Sztuk Wizualnych w dziedzinie plastyki, 18 kwietnia 2009 r. w Galerii Azyl-Art Grodzkiego Domu Kultury towarzyszyły wernisaż malarstwa **Wiktora Czyżewskiego** i główne obchody **Jubileuszu 100 lat urodzin i 51 lat twórczości artysty**.

Na Szanownego Jubilata tego dnia czekało bardzo wiele prezentów. Obdarowującymi byli: wiceprezydent miasta Gorzowa Wlkp. Zofia Bednarz, która odczytała list gratulacyjny od prezydenta Tadeusza Jędrzejczaka, w którym były „podziękowania za mądrość, wrażliwość, autentyczność i prostotę”. Wiceprzewodnicząca Rady Miasta Grażyna Wojciechowska – w imieniu radnych Gorzowa Wlkp. – podkreśliła wyjątkowy sposób bycia Jubilata i jego pogodę ducha. Najcenniejsze były jednak słowa premiera Rzeczypospolitej Polskiej Donalda Tuska, które odczytał przedstawiciel Lubuskiego Urzędu Wojewódzkiego – Leszek Bończuk. Zarząd Rady Krajowej RSTK w Warszawie reprezentowała Krystyna Woźniak, która odczytała gratulacje w imieniu prezesa Pawła Sroki, Wiktor Czyżewski jest bowiem wieloletnim członkiem RSTK. Honorowe świadectwo jubileuszowe przekazał Prezes Zakładu Ubezpieczeń Społecznych za pośrednictwem Mirosławy Winnickiej - kierownika Urzędu Stanu Cywilnego. Głos zabrali również Janusz Winiecki - dyrektor Grodzkiego Domu Kultury, który przekazał koszyk słodkości dla Jubilata oraz Edward Korban - prezes Uniwersytetu Trzeciego Wieku.

Część artystyczną rozpoczął prezes gorzowskiego oddziału RSTK Czesław Ganda prezentując wiersz Ferdynanda Głódzika i przekazując wraz z Barbarą Latoszek i Beatą P. Klary kwiaty oraz płytę z filmem o życiu i twórczości Jubilata. Film ten przygotował Ryszard Kućko z tekstem Romana Habdasa. Piosenkę „Nasi kochani dziadek i babcia” (sł. E. Buczyńska, muz. R. Wiórkiewicz) wykonał Kacper Zawół. Następny prezent muzyczny przygotowała Marzena Śron w postaci piosenek „Dwa razy nie” (sł. M. Wołek, muz. D. Janas) i „Pod dachami Paryża” (sł. i muz. G. Drejac).

Kolejne muzyczne upominki to wspólny występ Marcjanny Wiśniewskiej z siedmioletnią córką Oliwią Chrapkiewicz i Grażyną Wasilewską. Panie wykonały „Wesoły Korowód” Glucka’a. Licznie zgromadzeni przyjaciele i znajomi Pana Wiktora odpiewali mu „200 lat” ze stowarzyszeniem Gorzowskiej Orkiestry Dętej pod batutą Bolesława Malickiego.

Całość zakończył występ Mariusza Wasilewskiego, który zagrał na fortepianie utwory Jana Sebastiana Bacha, Ludwiga van Beethovena, Arama Chaczaturiana i VI Rapsodię węgierską Franciszka Liszta. Młody wykonawca zyskał wielkie uznanie słuchaczy.

Po spotkaniu Jubilat tonął w kwiatkach. Był bardzo wdzięczny, podobnie jak towarzyszące mu trzy córki Janina Gronkiewicz, Irena Bartkiewicz i Wiesława Milewska. To były wyjątkowe chwile w życiu tego wyjątkowego człowieka. Lzy wzruszenia w jego oczach gościły bardzo długo.

SYLWETKA ARTYSTY

Wiktor Czyżewski urodził się 12 kwietnia 1909 roku w Wilnie. Dzieciństwo przeżył w czasach carskich oraz I wojny światowej, młodość w wolnej porzecznej Polsce. Jako dojrzały człowiek był żołnierzem kampanii wrześniowej II wojny światowej. Czasy powojenne przeżył w Gorzowie niezmiennie, do dnia dzisiejszego, pod jednym adresem przy ul. Matejki, ucząc się i pracując. Od końca lat pięćdziesiątych zajmował się również malarstwem, uczestnicząc w życiu kulturalnym miasta. Lata sześćdziesiąte to udział w zajęciach grupy malarskiej pod kierunkiem nauczyciela, malarza Jana Korcza, później przyjaciela. Lata siedemdziesiąte i osiemdziesiąte to okres rozwoju twórczego, wyjazdy na niezliczone plenery, udział w wystawach zbiorowych i praca na rzecz środowiska twórców Gorzowa. Związany najsilniej z Wojewódzkim Domem Kultury (obecnie Grodzki Dom Kultury), od lat bierze udział w zajęciach pracownianych i plenerach twórczych. Jest jednym z nielicznych w tamtych latach uczestników i twórców kultury, który nie opuścił żadnego wernisażu malarskiego ani premiery teatralnej. Znany w środowisku z elegancji i dobrych manier, zawsze życzliwy młodym, z pełnymi garściami słodczy, którymi obdarowuje otoczenie. Siłą obecnego malarstwa Wiktora Czyżewskiego jest pogłębiona zmiana struktury płaszczyzny obrazu, połączona z kolorem obfituje w nieoczekiwane efekty luminacji światła i powidoków, stwarzając coraz to nowe pole do rozwiązań artystycznych. Swoją postawą człowieka i artysty odnosi się do spraw estetycznych w stopniu nieco mniejszym niż w latach ubiegłych. Obecnie główny ciężar swoich rozwiązań twórczych skupia na poszukiwaniu prawdy, tożsamości człowieka, wolności i duchowego rozwoju. Malować zamierza tak długo, jak starczy mu sił. **A tych na 100 kolejnych lat serdecznie mu życzymy!**

Beata Patrycja Klary



fot. Roman Habdas

Wiktor Czyżewski

*Z dawna słysząc podszepty płynącego skądś głosu,
swą przygodę z paletą zaczynałem od wrzósów;
do krainy kolorów zawsze było mi pilno;
W nich marzenia, tęsknoty, Kaziukowe w nich Wilno.*

*Karmi oczy barwami świat daleki i bliski;
ugier, ochra, indygo, czasem błękit paryski;
jak przedstawić na płótnie Boże dzieło stworzenia?
Własną miarą przestrzeni, burzą światła i cienia?*

*Wpierw wrażenia ulotne, potem szkice, kontury.
Tak powstają pejzaże oraz martwe natury;
wypowiedzieć najtrafniej, to co w duszy się kryje;
niech się przestrzeń poszerza, niech oddycha i żyje.*

*Czas nad Wartą upływał, kiedym trwał przy palecie,
nie wiem kiedy nade mną przeminęło stulecie;
wobec wieków jesteśmy tymczasowi i marni;
czy świat można ulepszyć? Ja go chciałem ubarwić.*

Podszuchał Ferdynand Głódzik

Na portalu Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Zielonej Górze (<http://www.wimbpb.zgora.pl>) można przeczytać oplakatowaną informację następującej treści:



Międzynarodowy Festiwal Literacki 14-16 maja 2009 r.

Międzynarodowy Festiwal Literacki organizowany jest przez Wojewódzką i Miejską Bibliotekę Publiczną im. C. Norwida w Zielonej Górze we współpracy ze Związkiem Literatów Polskich Oddział w Zielonej Górze, Łużycką Wyższą Szkołą Humanistyczną w Żarach oraz Miejską Biblioteką Publiczną w Żarach. Festiwal ma na celu promocję literatury krajów ościennych w Polsce, przybliżenie najnowszych nurtów i tendencji panujących w literaturze naszych sąsiadów oraz wymianę poglądów na temat obecności, percepcji i kondycji polskiej literatury (w tym regionalnej) na Litwie, Białorusi, Ukrainie, Słowacji, w Czechach, Niemczech, Estonii oraz terenach zamieszkałych przez Serbołużyczan. Wśród uczestników będą literaci znający język polski, co stworzy możliwości pozyskania tłumaczeń naszej regionalnej twórczości.

Swoją udział w Festiwalu potwierdzili: Aarne Puu z Estonii, Birute Jonuškaite z Litwy, Andrej Chadanowicz z Białorusi, Adrij Bondar z Ukrainy, Karl Grenzler z Niemiec, Radovan Brenkus ze Słowacji.

14 V odbyła się Biesiada Literacka z udziałem zagranicznych i regionalnych pisarzy, koncert oraz degustacja potraw charakterystycznych dla krajów, których przedstawiciele brali udział w imprezie. Na jutro (15 V), odbyły się spotkania z gośćmi w bibliotekach m. in.: Świebodzin, Żary, Brody, Gubin. Trzeciego dnia wszyscy zaproszeni pojechali do Żar na kiermasz i sympozjum „Literackie pomosty. Percepcja literatur - polskiej i krajów sąsiadujących”. Impreza dofinansowana była przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Od redakcji:

I bardzo dobrze. Tylko dlaczego pisarze gorzowscy ani nie zostali poinformowani, ani zaproszeni do udziału w tej imprezie. Szkoda, bo do tej pory współpraca obu lubuskich stolic na polu kultury i sztuki układała się niemal wzorowo. Mogliśmy więc liczyć, że międzynarodowa impreza literacka organizowana w Zielonej Górze za pieniądze z Ministerstwa Kultury będzie kolejnym krokiem do integracji lubuskich twórców. Niestety – z niezrozumiałych powodów nagle się stała secesja.

KONKURSY

XV im. Z. Morawskiego w Gorzowie na zestaw 3 wierszy lub 3 opowiadań. Termin nadsyłania prac do 15 lipca 2009 r. więcej – patrz www.klublamus.pl, tel. 0/95 722 6796.

O Nagrodę im. Anny Kamieńskiej za oryginalne tomy poezji opublikowane po raz pierwszy w roku poprzedzającym kolejną edycję nagrody (tj. w 2008 r.) do 30 V, patrz: dkkrasny.pl.

„O liść konwalii” im. Zbigniewa Herberta oraz o 3 nagrody po 2016 zł za zestaw 5 wierszy. Toruń-Dwór Artusa, Rynek Staromiejski 6, do 15 IX. tel. (0-56) 655-49-29.

IV Ogólnopolski Konkurs Poetycki „Struna orficka” im. Wojciecha Bąka – Ostrów Wielkopolski – na zestaw 3 wierszy. - do 10 czerwca. więcej tel. 062 736 40 60.

XIII Międzynarodowy Konkurs Poetycki „O Złote Cygaro Wilhelm”. MOK Czerwinka-Leszczyny – na zestaw 3 wierszy, do 15 czerwca. więcej: www.mokcl.pl, tel. (0-32) 431-89-55.

Konkurs Poetycki „Człowiek i sacrum” na 1 lub zestaw 2 wierszy – do 31 maja 2009 roku, na adres: Sąddecka Biblioteka Publiczna, 33-300 Nowy Sącz, ul. Franciszkańska 11 - tel. 606 957 138.

Pamiętają o pisarce

Co roku 21 lutego, w rocznicę śmierci wybitnej pisarki **Ireny Dowgielewicz**, związanej z Gorzowem ponad 40 lat, na cmentarzu komunalnym spotykają się miłośnicy jej twórczości, znajomi i przyjaciele. Młodzież czyta nad grobem wiersze i fragmenty prozy. Przyjaciele wspominają spotkania z autorką poematu „Rzecz o mieście Gorzowie”. Najczęściej spotkania prywatne, bo pani Irena nie lubiła spotkań autorskich. Wyjątek zrobiła dla młodzieży z II LO w Gorzowie przy ul. Przemysłowej, gdzie pod datą 27 XI 69 w kronice koła polonistycznego, które ją zaprosiło, wpisała: *Dziękuję, było to moje pierwsze spotkanie. Młodzieży można pogratulować takiej Pani Profesor (Jadwigi Szymańskiej).*



W tym roku do jej grobu przy Alei Zasłużonych przybyli uczniowie z nauczycielami m. in. Szkoły Podstawowej nr 17, Katolickiego Gimnazjum Stowarzyszenia Wychowawców, Medycznego Studium Zawodowego, Internatu Zespołu Szkół Ekonomicznych. Kwiaty i znicze z Wojewódzkiego Ośrodka Metodycznego i Klubu „Jedynka” oraz od przyjaciół i znajomych pisarki pokryły grób. Przeczytano kilka najbardziej znanych wierszy, np. „Stadion dla biedronki”, „Epitafium” oraz poemat „Rzecz o mieście Gorzowie”. Zebrani oddali hołd również innym twórcom, których groby znajdują się w tym Kwartale.

PS. Dzień przed spotkaniem anonimowi miłośnicy utworów Ireny Dowgielewicz starannie uporządkowali grób, złożyli kwiaty i zapalili znicze. Dziękujemy.

Anna Makowska-Cieleń

Jubileusz Władysława Łazuki

Poeta i prozaik Władysław Łazuka, mieszkający w Choszczynie członek gorzowskiego Oddziału ZLP, doczekał się jubileuszu 40-lecia swojej twórczości literackiej. Debiutował w 1969 r. na antenie Polskiego Radia w Szczecinie oraz publikacjami prasowymi. Pierwszy tomik wierszy W. Łazuki pt. „Przejdę sad” ukazał się w Warszawie w 1976 r. Jubilat jest autorem 13 książek poetyckich i prozatorskich. W ubiegłym roku do księgarń trafiły jego dwa kolejne tomiki wierszy: pierwszy pt. „Gdzie szybki Drawy bieg” został wydany w zielonogórskiej oficynie Pro Libris, drugi – „Kilka słów” w Warszawie, w wydawnictwie IBIS.



Organizator imprezy – Choszczeńskie Towarzystwo Kultury serdecznie zaprasza na imprezę jubileuszową, która odbędzie się 29 maja o godz. 18.00 w Sali Baletowej Choszczeńskiego Domu Kultury.

Poeci zapraszają poetów

Jeśli lubisz słuchać poezji, jeśli sam piszesz – Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury zaprasza na NOC POETÓW 23 maja o godz. 20 do Miejskiego Centrum Kultury w Gorzowie Wlkp. Zabierz wiersze i zaprezentuj je, a w międzyczasie posłuchaj piosenek w interpretacji Łukasza Rekxa, Marzeny Śron, Katarzyny Gólczyńskiej i Kacpra Zawoła. ZAPRASZAMY

Zuzanna Hornik

Ma 21 lat. Urodziła się i wychowała w Gorzowie Wlkp. Obecnie studiuje na II roku kulturoznawstwa na UAM w Poznaniu ze specjalizacją grafika projektowa. Interesują ją prawie wszystkie dziedziny związane ze sztuką. Teatr alternatywny, fotografia, muzyka, taniec, religie świata oraz zwyczaje i obyczaje różnych kultur. Swoje pasje aktywnie rozwija na różnych płaszczyznach: działa w grupie twórczej „Bez Vat” (forma teatru alternatywnego). Punktem wyjściowym do powstania pokazu jest przestrzeń, którą aktorzy kreują z wyobraźni w oryginalny, pomysłowy i niepowtarzalny sposób. W twórczości pomaga jej muzyka. W wolnym czasie lubi gotować, biegać po lumpeksach, z kotem na kolanach oglądać dobre filmy lub spędzać czas na łonie natury z aparatem w ręku.



TRYB WARUNKOWY

Gdybym była inna
Nie byłabym sobą
Gdybym nie była z tobą
Byłabym inna

Ale sobą

Gdybyś był inny
Nie byłbyś sobą
Gdybyś nie był ze mną
Byłbyś inny

Ale sobą

Gdybyś był inny
Nie byłabym z tobą
Jesteś ze mną
Jesteś sobą

Darmowa ładowarka
Dzikich baterii

Najlepsza kołyska
Rozbujanych uczuć

Ciepły miód
W gorzki dzień
Bomba słońca
W zapłakane dni

Stalowy bunkier
Na waleczne nastroje

Gdybym nie była z tobą
Byłabym
Smutną
Sobą

Tak mało człowieka w człowieku
Ludzie niedokończone kolorowanki
Świejące sztuczną opakowania

*

Mówię ciałem
Nie rozumiesz
Mówię słowem
Przepaść
Oddaję się i biorę
Szał ciał
Radość ducha
Kraina miodu i mleka
Po
Zakręt z niewiadomą

*

Jestem Zuzanna
Lat 20
Stoję na balkonie westchnień

Jeansowe niebo nade mną
Prawo moralne we mnie
Kot ociera się o nogi

Nie będę Julią
Nie ten czas

*

Płatki śniegu na parapecie
Śmierzą świętami
Ten rok to porażka
Znowu jestem sama

*

Życie może być piękne
Wystarczy zamienić rzeczywistość
W aktywną fantazję
Spojrzeć z góry jak słońce
Promieniować razem z nim
musimy uczyć się od dzieci
szybko

SHOW BIZNES

Kotki wchodzą na płotki
Kobiety na szpilki
Matki karmią niemowlęta
Kocice producentów filmowych
A panowie ...

ANIOŁEK

Jestem słodka
Dam Ci miód
Jestem ostra
Dam Ci dreszcz
Jestem remiksem siebie
Aniołem z menu diabła

Posłuchaj mego wrzasku strachu
Śmiechu pudru
Szeptu spokoju

Znajdziesz mnie w internetowym śmietniku
Na półce w tomiku
Zdjęciu
Pamiętniku

Na zawsze będę parować
Pozytywną energią z tego wiersza
Dla siebie
Ciebie
Świata

SZCZURKINIE

Po drabinie sukcesu
I szczeblach porażki
Z plecakiem gówna
I kawałkiem siebie
Idziemy
Biegniemy
Spadamy

Znów się wspinamy

Po drodze wyznaczonej
Naszym marzeniom
Z nierozłącznym partnerem
Presją
Strachem
Rywalizacją
Depresją

Pod górkę
By nie wypaść z toru
Nie odpaść z wyścigu
Hehehe

N I E

PEGAZ LUBUSKI

Czasopismo literackie pod auspicjami WiMBP i ZLP.

Red. nac. Ireneusz K. Szmidt (tel. 501 520 227, e-mail: wag.arsenal@wp.pl), z-ca red. nac. Beata P. Klary, sekretarz Danuta Zielińska, współpracownicy: Krystyna Kamińska, Marek Grewling, zdjęcia: I. K. Szmidt, archiwum wydawcy i autorów, ilustracje: Zbigniew Olchownik

Wydawca: Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna, ul. Sikorskiego 107, tel. 95 727 70 70, e-mail - informacja@wimbp.gorzow.pl

Skład komputerowy: Paweł Marchwiński, tel. 515 185 242

Nie jestem członkiem ZLP ani uznanym literatem, nie mam na koncie spektakularnych sukcesów (poza publikacją moich dwóch tekstów w kwartalniku „Koziryniek”, w ostatnim numerze), ale piszę nadal. Pozwoliłem sobie załączyć plik z tekstami i poddać je ocenie. Jeśli okaże się, że jest to zbyt słabe, poproszę o kilka słów komentarza, żebym wiedział, jaką ścieżką podążać. Mieszkam w województwie lubuskim, w małej wsi Wyszanowo koło Międzyrzecza. Pozdrawiam serdecznie.

Arturze, chciałbym, żeby moja poczta częściej przynosiła teksty na takim poziomie, jaki reprezentują Pańskie wiersze. Z wielką przyjemnością rekomenduję je czytelnikom „Pegaza Lubuskiego”. A Pana zapraszam do stałej obecności w lubuskim życiu literackim.

Red. nac. I.K. Szmidt

Artur Wodarski

moje zimy nie różnią się od twoich

grudniowy poranek w toronto.
ty jak posąg na trzydziestym piętrze
wtopiony w szkło, jak kostka lodu w szklankę wódki.
ptaków tu jakby mniej i niebo inaczej oddycha
i tylko kac przypomina, że wczoraj miało jednak miejsce.
dym się unosi i opada. za oknem defilada pingwinów
i tylko wróblom nie służy tutejsze powietrze.

u mnie już luty.
w doniczkach ziarenka których nikt nie podlewa.
na wyciągnięcie ręki start samolotu i opuszczony dom
śniący o ogniu w kominku i o kocie, którego nie ma.
ptaków już więcej, tylko powietrze bardzo podobne
jakby przyklejone siłą do nieba.
ale to akurat nie boli.
zamarzanie boli.
i tylko to

diabły i anioły

nie wierzę w zabobony
zakrety się zdarzają
a ulice są pełne dziur tak po prostu
na końcu chodnika zmarł pijak
kolega mówił że rano przebiegł tędy czarny kot
i poszedł tępic koty
piliśmy wtedy w słowiańskiej i komuś przyszło
do głowy wybić też gołębie /no przecież kurwa
latały w tej okolicy/
ale stanęło tylko na gadaniu
szklankom wyszło dno i wtedy przyszła noc
ale nie tak jak zwykle
tylko w dziwny sposób nadeszła
niosła ze sobą diabły i liczyła na cuda
no i cud się stał
koty spierdoliły do piwnic
a nam przyśniły się gołębie
takie z wielkimi skrzydłami jak u aniołów

lenistwo (sposób na życie)

tamten wieczór w ogrodzie i nasłuchiwanie
jak zbliża się jesień. ostatnie strzyżenie trawy

i opadanie liści powolnie spopielianych przez ogień.
pachniały jabłka schowane przed pazernością słoików

gruszki wdychały leniwie soczyste ciepło nadchodzącej
nocy a drzewa falowały w rytm tykającego z opóźnieniem

zegara. siedziałem wsparty o dębowy blat stołu z uchem
przy jego oddechu i nie mogłem zrozumieć skąd w nim

tyle życia. ziemia kręciła się ani trochę nie zwalniając
ja kręciłem się razem z nią nie próbując niczego zmieniać.

potem pojawił się księżyc i niezmacona niczym pewnością
że właśnie to chciałem robić przez kolejne dwadzieścia lat



Ur. 30.11.1963 r. w Malborku, średnio wykształcony w I LO w Elblągu. Obecne miejsce zamieszkania to Wyszanowo, mała wieś położona 10 km od Międzyrzecza, gdzie pracuję. Pierwszy, okolicznościowy wierszyk, napisałem w trzeciej klasie szkoły podstawowej, ale ten początek pisania traktuję raczej w kategorii „wybryk”. Poważnie zajmuję się pisaniem od 6 lat. Kilka moich tekstów ukazało się w „Angorze” i w ostatnim numerze „Kozirynku”. W pisaniu skłaniam się bardziej w kierunku poezji, ale ostatnimi czasy próbuję także swoich sił w krótkich formach prozatorskich.

Jaś znowu wygrywa

tym razem w konkursie na fraszkę o Śremie

APEL BURMISTRZA

Film obejrzyjsz w teatrze,
a przedstawienie w kinie.

Jako patron SATYRYKONU
zaapelować do Was śmiem:
Niech wreszcie cały świat się dowie
jak szczerze umie śmiać się ŚREM.

WALORY ŚREMU

KINOTEATR „ŚLONKO”

Na długo zostanie w pamięci
urokliwe miasto nad Wartą.
Szczególnie ponętne dziewczyny,
z którymi zapomnieć się warto.

Taka atrakcja w „Ślonku”
pewnie cię nie ominie:

Jan Gross MYŚLI i AFORYZMY

wyróżnienie w Białymstoku na konkursie „Satyria 2009”

- Kto się umie ustawić, ten się nie boi ustaw.
- Coraz więcej szpitali świadczy usługi od siedmiu boleści.
- Lista stu najbogatszych Polaków co roku przypomina jej z kim powinna się zapomnieć.
- Po grze - na cztery ręce - z pewną pianistką, czekał go jeszcze koncert w domu.
- Osla przy żłobie można zobaczyć także poza stajenką betlejemską.
- Kiedy człowiek płytki mówi, że jest wzruszony do głębi, to z całą pewnością kłamie.
- Długo latał za uroczą stewardesą zanim wylądował z nią w łóżku.
- Kardynałowie też błędzą, ale nie są to błędy kardynalne.
- Są tacy kierowcy, którym stale trzeba przypominać o wymianie oleju... w głowie.